

GŁOSY PODOLAN



ISSN 1507-9996

Nr 157

KWIECIEŃ-CZERWIEC

2022



KWARTALNIK ODDZIAŁU TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW
LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO-WSCHODNICH W POZNANIU

„Głosy Podolan”

Kwartalnik Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Poznaniu.

Zespół Redakcyjny:

Igor Megger (Poznań) Redaktor Naczelny, Hanna Dobias-Telesińska (Poznań), Alicja Kocan (Warszawa), Maria Sikorzyńska (Warszawa), Robert Szczerkowski (Wrocław).

Adres do korespondencji:

*Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
Oddział Poznań
„CK Zamek”, ul. św. Marcin 80/82 p.336
61-809 Poznań
Z dopiskiem „Redakcja Głosów Podolan”*

Adres e-mail: igor_mode@wp.pl

Tel. 728-252-793

Strona internetowa : www.lwowiacy.pl

Konto bankowe:

*Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
Poznań, ul. św. Marcin 80/82*

PKO BP I O. Poznań

Nr 06 1020 4027 0000 1302 0293 3455

Z dopiskiem: darowizna statutowa (na cele wydawnicze)

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania
i adiustacji nadesłanych tekstów.

Na okładce: Fragment prospektu Ligi Popierania Turystyki reklamującego „Ciepłe Podole” – lata 30 XX w. Tekst głosi: „Ciepłe Podole to słońce, jary, kąpiele, winnice, krajobrazy, zabytki, jaskinie, turystyka, sport, winobrania”.

SPIS TREŚCI

Tadeusz JÓŹKÓW	
Moje wspomnienia (cz. V – drugie spalenie Deryłoz).....	s. 1
Bruno BROŻYNIAK	
Dzieciaki na wojnie. Wspomnienia czortkowanina (cz. IV).....	s. 10
Bogusława DUSZKIEWICZ, Kazimierz ORLICZ	
Wspomnienie o deportacji z Podola ze Strusiowa pow. Trembowla do Kazachstanu(cz. III - ostatnia).....	s. 18
Igor MEGGER	
Z dziejów Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” w Busku (pow. Kamionka Strumiłowa) (cz. II - ostatnia).....	s. 26
Altea Milada LESZCZYŃSKA	
Z Czortkowa w katyńskie doły śmierci.....	s. 33
Jerzy MILLER	
Zapomniani pisarze z Podola cz. III – Teodor Tomasz Jeż.....	s. 36
REDAKCJA	
Warto przeczytać	s. 39
Igor MEGGER	
Cichy bohater ks. Bronisław Baranowski	s. 40
Maria SIKORZYŃSKA	
„Opłatek” w Stołecznym Oddziale TMLiKPW	s. 42
Maria SIKORZYŃSKA	
Komunikat warszawskiego Klubu „Podole”.....	s. 43
Katarzyna KWINECKA	
Historia poznańskiej kopii „ślicznej gwiazdy miasta Lwowa” ..	s. 44
Jan KRUCZKOWSKI	
Wspomnienie o mojej siostrze Marii	s. 47
Jan Adam BARAŃSKI	
Śp. Stanisław Maria Jankowski	s. 51
REDAKCJA	
Pomoc dla sióstr dominikanek w Czortkowie	s. 54



Tadeusz Józków
Milicz

Moje wspomnienia

Cz. V – drugie spalenie Deryłoz

Po powrocie do Deryłoz, na przełomie kwietnia i maja 1944 roku zamieszkaliśmy u stryjostwa Anny i Mariana Józków, który wraz z moim Ojcem i Michałem Stroblem poszli na wojnę do Wojska Polskiego, a Paweł Podolski, jako Ukrainiec, do Armii Czerwonej. Do Wojska Polskiego poszedł też Władysław Podhorodecki, ale chyba dopiero w lipcu 1944 roku. U stryjostwa, a raczej u swojego wujostwa, zamieszkali też Zofia i Michał Stroblowie wraz ze swoją córeczką Danusią i Karolem Stroblem, ojcem Michała, bo po pierwszym spaleniu Deryłoz, Stroblowie zamieszkali w Uwiśle, u krewnych Zofii. Po powrocie do Deryłoz Stroblowie ponownie zamieszkali w tzw. „starym domu Marianka”, a my razem ze stryjostwem w tzw. „nowym domu Marianka”. I tak to trwało do dnia 4.09.1944 roku, czyli do drugiego spalenia Deryłoz.

Latem, pomiędzy majem a wrześniem 1944 roku, pod nieobecność mężczyzn życie trzech kobiet w Deryłozach biegło dość zgodnie, pomimo że stryjeczna stryjna Anna, żona Mariana Józków była Ukrainką. Wszyscy pomagali sobie wzajemnie, a zwłaszcza przy pracach polowych. Stroblowie, pomimo że mieszkali oddzielnie to na nocleg schodzili się do „murowanego domu Marianka” - bo tak wtedy mówiono o nowym domu stryjostwa - i zgodnie nocowali razem na strychu tego domu. Po wejściu na strych zamykano klapę nad wejściem, a na nią przesuwano skrzynię z piaskiem. To niby miało nas zabezpieczyć przed tzw. „nieproszonymi gośćmi”. W najlepszej sytuacji była stryjna Hanka (Anna), bo ona była u siebie, a na dodatek była Ukrainką, chociaż jej mąż Polak służył w Wojsku Polskim. Ale miała przy sobie 19-letnią córkę Zofię i 14-letniego syna Staszka. Stroblowie i my byliśmy u niej, może nie na łaskawym chlebie, ale pod jej dachem.

Co prawda nie była to okupacja hitlerowska, ale banderowcy mocno dawali o sobie znać. I tak by można bez końca żalić się nad własnym losem.

Tak jak już wcześniej wspomniałem, Podhorodecka zamieszkała na stałe w Celejowie, ale bez drugiego męża, Karola Strobla. U Smalów i Podolskich nic się nie zmieniło. Mężczyźni byli w domu, bo z uwagi na wiek nie poszli na wojnę, no i byli na swoim. Na wojnę z Deryłoz nie poszli z uwagi na wiek: Karol Strobel – Polak, Andrzej Smal – Ukrainiec, Maciej Podolski - Ukrainiec polskiego pochodzenia oraz Stanisław Podhorodecki - Polak, ale dlaczego to nie wiem, bo był on 1919 rocznik. Został zamordowany w dniu 17.12.1944 roku przez banderowców w Celejowie.

Taki to był rok 1944 dla Polaków na Podolu. Takiego upokorzenia, takiej poniewierki i nędzy jaką przeżyliśmy w latach 1944 – 1945, to już dzięki Bogu i moim Rodzicom nigdy więcej nie przeżyłem, pomimo że Ojciec wrócił z wojny jako inwalida.

Nie patrząc na tragiczne przeżycia w Deryłozach moich Rodziców, bo my jako dzieci nie bardzo byliśmy świadomi co się z nami działo, mój Ojciec był z tego dumny, że zamieszkał w Deryłozach. Był tego świadom, że był to jego dobrowolny wybór. Że wraz z Polakami z Celejowa i Deryłoz pozostawili po sobie polską pamiątkę w postaci rozpoczętej budowy Polskiego Domu Ludowego w Celejowie, który do dziś służy Ukraincom, ale jako magazyn.

Z czasem Deryłozy przestały istnieć. Po Deryłozach pozostała jedynie studnia Stroblów przy ich nowym domu. Piłem z niej wodę będąc w Deryłozach z odwiedzinami wraz z żoną w 1978 roku, bo do naszej studni banderowcy wrzucali pomordowanych ludzi jeszcze przed naszym wyjazdem na zachód, ale po naszym wyjeździe z Deryłoz. Jak opowiadała moja Mama, że podczas pobytu w Deryłozach późną jesienią 1944 roku, z innymi kobietami przy wykopkach, chcąc napić konie zauważyli ludzkie trupy w naszej studni, ale o tym później.

Kobiety z Deryłoz spokojnie, z nadzieją na szybki powrót swoich mężów z wojny, choć niespokojne o swój i ich los, zbierały zboże, które obficie obrodziło w 1944 roku. Dwie rodziny, tzn. mo-

ja Mama i Stroblowie, zwieźli swoje zboże na podwórze stryjostwa-wujostwa, Anny i Mariana Józków. Zboże zostało ustawione w stogi od strony wschodniej podwórza na wysokości budynku mieszkalnego, czyli „nowego domu Marianka”. Pomagając sobie wzajemnie, zboże zbierano sierpem, dlatego do żniw najmowano ludzi za . tzw. „sноп”, bo innej możliwości zapłaty za pracę przy żniwach nie było. Chętni ludzie do pracy przy żniwach byli. Była to co dziesiąta kopa, a w każdej z nich było po 10 snopów, czyli z każdej kopy co dziesiąty sноп był wynagrodzeniem za pracę. A może inaczej: 9 snopów z kopy było dla gospodarza, a 1 za robotę przy żniwach.

W tym tragicznym dniu u stryjostwa-wujostwa na podwórzu stały stogi trzech rodzin: gospodarzy, nasze i Stroblów w oczekiwaniu na omloty. Jak sobie przypominam, Mama dwa wozy drabiniaste zboża w snopach zawiozła do Chorostkowa, co jak się później okazało, było jedynym źródłem naszego utrzymania aż do października 1945 roku. Co się działo z naszym polem w 1945 roku w Deryłozach i kto je uprawiał, tego nie wiem.

Aby dobrze zrozumieć dalsze wydarzenia z Deryłoz, jakie miały miejsce w dniu 4.09.1944 r. na podwórzu stryjostwa, najpierw opiszę usytuowanie zabudowań posesji stryjostwa względem drogi która wiodła od południa, czyli z Celejowa ku północy i dalej w stronę Soroki. Idąc od skrzyżowania dróg przy naszym pogorzelsku w kierunku północnym czyli do góry w kierunku Soroki, za skrzyżowaniem po stronie zachodniej mijamy pogorzelsko Podhorodeckich. Dalej ku północy, około 500 metrów jest las (w tym czasie to był raczej zagajnik). Przez drogę, na wysokości lasu, w kierunku wschodnim znajdowały się zabudowania gospodarcze i dom mieszkalny stryjostwa. Przy samej drodze, ale po stronie podwórza, czyli już na posesji stryjostwa znajdowała się studnia. Około 10 metrów od studni, lekko w kierunku północno-wschodnim wybudowany został w latach 30. XX wieku nowy dom mieszkalny stryjostwa - z cegły palonej i kryty blachą cynkową - zwany „nowy dom Marianka”, murowany. I kryty blachą, do którego były dwa wejścia. Główne z gankiem od strony północnej, a drugie - chyba nieczynne - od strony południowej, czyli od strony podwórza. Od

strony południowej, względem nowego domu mieszkalnego znajdowały się szeregowe zabudowania gospodarcze stryjostwa. Te budynki oddzielone były od siebie około 15 metrów. Natomiast od strony wschodniej podwórza - pomiędzy tymi budynkami - znajdował się gnojownik. Po stronie północnej i wschodniej nowego domu mieszkalnego stryjostwa był duży sad, a za nim pole orne. Natomiast w kierunku południowo-wschodnim od Deryłoz znajdowała się wieś Liczkowce. Z Liczkowiec do Celejowa podczas parcelacji przybyły cztery rodziny polskie: dwie rodziny Różyłów, Niedzielscy i Gajdowie. Budynek szeregowy, w którym znajdowały się pomieszczenia gospodarcze, był połączony ze starym domem mieszkalnym stryjostwa w którym mieszkali Strobłowie. Ze szczytu od strony zachodniej, czyli od drogi, było wejście do pomieszczeń mieszkalnych w których mieszkali Strobłowie. A w kierunku wschodnim były pomieszczenia dla żywego inwentarza i stodoła. Na samym końcu była prowizoryczna przybudówka, w której Mama trzymała świnie, która spłonęła żywcem w dniu 4.09.1944 roku. O ile dobrze sobie przypominam, to Andrzej Smal - Ukrainiec z Deryłoz miał już swój kierat i chyba młocarnię napędzaną tym kieratem. A może to był kierat jego zięcia? Tego już nie wiem.

Zamiast zadowolenia z udanych zbiorów, przyszedł nieoczekiwany drugi tragiczny dzień dla Polaków z Deryłoz. Był to bardzo tragiczny dzień, a może i początek końca Deryłoz, a zwłaszcza dla jego trzech rodzin, z których mężczyźni byli na wojnie w Wojsku Polskim.

A był to piękny słoneczny dzień 4 września 1944 roku. Zamiast radości i zadowolenia z udanych zbiorów - tragedia i rozpacz. Jedyna radość to taka, że uszliśmy z życiem po raz drugi spod siekier ryzunów, bo tak siebie banderowcy nazywali dla dodania postrachu i ważności. Wojna z kobietami i dziećmi!

Jak później Rodzice rozmawiali, plony w roku 1944 były bardzo udane. Niespodziewanie na urlop przyjeżdża z wojska Michał Stobel. Przyjechał w polskim mundurze i na prośbę kobiet załatwił młocarnię, którą do Deryłoz z Celejowa przywiózł swoimi końmi Michał Różyło, wówczas 16-letni Polak z Celejowa. Równ-

cześniej był on pomocnikiem maszynisty, bo młocarnia była napędzana silnikiem spalinowym. Młocarnię zabrano z podwórza celejowskiego Ukrainca, którego córka była staniczną u Celejowskich banderowców o nazwisku lub przydomku Kobyłka. Właścicielem młocarni był Ukrainiec z Mazurówki koło Celejowa. Z kolei maszynistą był Polak z sołectwa Celejów o nazwisku Michał Sokołowski. Jak to żartobliwie powiedział Michał Różyło, w tym czasie w Deryłozach było trzech Michałów. Michał Różyło nie czekając na maszynistę sam z innymi mężczyznami ustawił młocarnię i silnik spalinowy, po czym rozpoczęli młócenie zboża od stogów stryjny Hanki.

Tradycyjnie do pomocy przyszło kilku mężczyzn z Celejowa, bo z miejscowych byli tylko Karol i Michał Strobel, 14-letni Stanisław Józków - gospodarz posesji. Z Deryłoz przyszła Katarzyna Smal - Polka po matce, Stanisław Podhorodecki, dawny mieszkaniec Deryłoz oraz radziecki dezertor, który ukrywał się u Smalów. Natomiast z Celejowa przyszło dwóch mężczyzn o nazwisku Krawiec oraz jeden o nazwisku Winiarski. Niestety nie znam imion. W chwili przyjazdu banderowców, oni we trzech układali słomę w stogi i byli niewidoczni dla banderowców, dlatego udało się im wcześniej zbiec.

No i zaczęła się młócka. Zanosilo się na piękny dzień. Młócenie rozpoczęto od zboża gospodyni Anny Józków, tak że ona poniosła najmniejsze straty w zbożu, a może i żadnych strat, bo jej wymłócone ziarno zostało nawet zaniezione na strych nowego domu mieszkalnego, a był to dom murowany i pod blachą. Pomimo że banderowcy ostrzegali maszynistów, a zwłaszcza Michała Sokołowskiego z Mazurówki, że jak pojedą do Deryłoz młócić to zginą. No i zginął Michał Sokołowski. Michał Różyło wykorzystał chwilowe zamieszanie na podwórzu i zbiegł w kierunku Liczkowiec - około 10 km od Deryłoz, bo do Celejowa bał się już wracać, a Michał Strobel zbiegł do Chorostkowa - 8 km od Deryłoz na zachód.

W ten piękny słoneczny dzień, w dwie godziny po obiedzie, w dniu 4 września 1944 roku przyjechały z Celejowa dwie furmanki (wozy konne), a na nich sześciu mężczyzn i jedna kobieta. Wszyscy

byli ubrani w radzieckie mundury. Jedną z nich powoził hołowa (sołtys) wsi Celejów - Ukrainiec o nazwisku Czarny. Było to dość popularne nazwisko w tych okolicach i nie tylko wśród Ukraińców. Stanisław Podhorodecki i radziecki dezertier ukrywający się u Smalów w Deryłozach, a pomagający przy młócce, zobaczywszy jadących od strony Celejowa radzieckich żołnierzy z hołową jako furmanem, zbiegli do pobliskiego lasu po przeciwnej stronie, czyli przez drogę od zabudowań stryjostwa. W chwili przybycia banderowców w radzieckich mundurach na podwórzu byli: Michał Różyło - lat 16, Stanisław Józków - lat 14, syn gospodarzy. A z osób dorosłych Karol i Michał Stroblowie, maszynista Michał Sokołowski - Polak z Mazurówki, no i kobiety z dziećmi, w tym moja Mama, ja - lat niespełna 7, mój młodszy brat Janek - lat 3. Starsza siostra Czesława - lat 8, była w tym czasie w Uwiśle w ochronce prowadzonej przez siostry zakonne ze Zgromadzenia Sióstr Służebniczek NMP NP, przygotowując się do przyjęcia Pierwszej Komunii świętej. Siostra przyjęła Pierwszą Komunię świętą w dniu 8.09.1944 r., czyli w cztery dni po drugim spaleniu Deryłoz, z rąk ks. kan. Jana Gorzycy, od 1926 roku proboszcza parafii rzymskokatolickiej pw. Michała Archanioła w Chorostkowie (dekanat Trembowla).

Ponadto na podwórzu stryjostwa w tym czasie byli: gospodyni Anna Józków, jej 19-letnia córka Zofia oraz pozostali dwaj synowie: Michał - lat 5 i Roman - lat 2 oraz Zofia Strobel z 2-letnią córeczką Danusią - cudem odratowaną po marcowym pożarze Deryłoz. Była też Katarzyna Smal - Polka po matce - lat około 25 a może trochę więcej.

W chwili przybycia banderowców ubranych w radzieckie mundury na podwórzu stryjostwa, moja Mama, trzymając swoje najmłodsze dziecko, a mego młodszego brata 3-letniego Janka na rękach, stała przy południowym wejściu do nowego domu mieszkalnego, czyli od strony podwórza, a ja stałem obok Mamy. W tym czasie banderowiec w radzieckim mundurze podszedł do Mamy i zapytał po ukraińsku: „A wy zwidky?” (A wy skąd?). Mama w przekonaniu, że to radziecki żołnierz, odpowiedziała również po

ukraińsku, przy tym wskazując ręką w stronę południową naszego pogorzelniska: „Ja wid toj chaty szczo bandery spałyły” (Ja z tego domu co banderowcy spalili). Banderowiec na moich oczach uderzył Mamę kolbą automatu, czyli „pepeszy”, bo tak tę broń nazywano, w twarz. Mama wraz z bratem upadła. Banderowiec, jak to wtedy mówili „puścił serię z automatu”. Chyba w przekonaniu, że Mama nie żyje, poszedł w kierunku drogi. Ja stałem obok Mamy i mnie chyba nie zauważył lub zlekceważył. Przy studni był już ustawiony karabin maszynowy, skierowany lufą w kierunku północno-zachodnim, a przy nim leżał już banderowiec czekający na rozkaz i był gotowy do strzału. Przy młocarni, a raczej przy silniku spalinowym, na który mówili motor, stał Michał Różyło, a pozostali mężczyźni, czyli Michał Strobel i Michał Sokołowski w tym czasie nosili zboże stryjenki Anny na strych nowego domu mieszkalnego. Tak o tym wydarzeniu opowiadał mnie już Michał Różyło:

Banderowiec w radzieckim mundurze kazał zatrzymać motor, co Michał Różyło natychmiast uczynił zamykając dopływ paliwa do motoru, bo od samego początku wydawało się jemu to wszystko bardzo podejrzanе, bo banderowiec oprócz „pepeszy” przy pasie miał dwa pistolety i kilka granatów, a co by nie powiedzieć o radzieckich żołnierzach, to nigdy się tak nie obnosili bronią, chyba że szli do ataku „na Giermańca” lub „za rodzinu, za Stalina”.

Gdy Michał Sokołowski i Michał Strobel zeszli ze strychu i podeszli do młocarni, to po chwili banderowcy już prowadzili trzech Michałów w kierunku drogi. Zrobiło się na podwórzu zamieszanie, Zofia Strobel w przekonaniu, że to radzieccy żołnierze pobiegła do swego mieszkania, z którego wzięła dokumenty swego męża Michała i z nimi podbiegła do jednego z banderowców, podając te dokumenty. Banderowiec, który prowadził trzech Michałów od strony młocarni w kierunku drogi odtrącił Zofię Strobel, mówiąc do niej po ukraińsku: „Ne treba” (Nie trzeba, albo że niepotrzebne są jemu te dokumenty). Z tego zamieszania skorzystał Michał Strobel, Michał Różyło, Karol Strobel i Stanisław Józków, którzy zdołali zbiec. Pozostał tylko Michał Sokołowski - maszynista, Polak z Mazurówki, który niestety zginął w tym dniu od banderowców.

Natomiast kobiety gdy zobaczyły, że to banderowcy, a nie radzieccy żołnierze, wraz z dziećmi uciekły na strych murowanego domu stryjostwa, który był kryty blachą, jak to mówili „pod blachą”, na którym każdej nocy nocowaliśmy, zasuwając za sobą - tak jak to robili każdej nocy - wcześniej przygotowaną skrzynię z piaskiem. W międzyczasie jeden z banderowców wszedł do tzw. „starego domu Marianka”, w którym mieszkali Strobłowie i po chwili wyszedł z niego ubrany w polski mundur Michała Strobla. Ten fakt opowiadały kobiety będące na strychu. Wszystko widziały przez okienko ponieważ jedno z tych okienek było od strony tego domu.

W tym zamieszaniu Karol Strobel i Stanisław Józków skryli się w bardzo wysokich porzeczkach od strony północnej nowego domu mieszkalnego i stamtąd obserwowali poczynania banderowców. Z kolei Michał Różyło prowadzony przez banderowca od strony młocarni w kierunku drogi wykorzystał zamieszanie skręcił w prawo, i nie zauważony przez banderowców skrył się za domem mieszkalnym od strony północnej, po czym pobiegł w stronę wschodnią i zaczął uciekać w kierunku Liczkowiec.

Banderowcy po chwili zaczęli za uciekającym Michałem Różyło strzelać z „pepeszy”. Michał biegnąc zygzakiem pomiędzy kupkami koniczyny, cudem uniknął trafienia. Do Liczkowiec dotarł dopiero na następny dzień, nocując pod miedzą, bo bał się iść do Celejowa. Banderowcy oddali w kierunku uciekającego Michała Różyło kilkanaście serii z „pepeszy”, ale na szczęście były one niecelne i tym sposobem uratował się.

Natomiast Michał Strobel zbiegł do lasu, o którym już pisałem wcześniej.

Niestety nie udało się uniknąć śmierci trzeciemu Michałowi. Po przeciwnej stronie lasu Michał Strobel zabrał przypadkowemu oraczowi konia, na którym dojechał do Chorostkowa – około 8 km od Deryłoz, aby dać znać co się stało w Deryłozach. Niestety pozostał na drodze lub przy drodze maszynista, chociaż niektórzy twierdzą, że uciekał w stronę podwórza i na gnoju został zabity. Inni z kolei mówili, że został podczas ucieczki tylko ranny. Upadł na gnoju i tam w ogniu dokończył żywota. Według Michała Różyło - na-

ocznego świadka - maszynista został zabity przy drodze, a jego ciało banderowcy zanieśli na gnoj i tam dokończył swego żywota. Jak by nie było, zginął w męczarniach niewinny człowiek, który przyszedł z pomocą innym. Na pewno ciało jego paliło się wraz z gnojem i słomą. To już widziałem na własne oczy po zejściu ze strychu.

Po chwili zaczęło się piekło, banderowcy podpalili stogi ze słomą i nie wymłóconym zbożem, a było to już chyba tylko nasze i Stroblów. Być może spaliła się niewielka ilość zboża nie wymłóconego Anny Józków. Nasze i Stroblów zboże spaliło się wszystko. W tak krótkim czasie zostaliśmy bez środków do życia. Była jesień, a zbliżała się - jak to w tych rejonach - sroga zima. Ojciec na wojnie, a my bez dachu nad głową i bez chleba. Dzięki Bogu zostały jeszcze dwie krowy i dwa konie, ale i je trzeba było wykarmić, Mama jednego konia chyba od razu sprzedała w Chorostkowie.

Tego się nie da opisać. To trzeba było przeżyć. To kolejny cud, że przeżyliśmy.

Spaliła się młocarnia i częściowo motor, który po kilku dniach został zabrany przez sołtysa z Liczkowiec po wcześniejszym uzgodnieniu z sołtysiem z Celejowa. Po pewnym czasie blacha nad nami zaczęła się robić czerwona od ognia. Zaczęliśmy się dusić. Groziła nam śmierć od ognia czyli w męczarniach od ognia. To było straszne. Aż trudno w to uwierzyć że żyjemy. Mój młodszy brat, lat 3, nieświadomy tego co się wokół nas dzieje zaczął po ukraińsku wołać: „Mamo! Ja chcę mołoka”. Kobiety były coraz bardziej świadome tego, co nas czeka. Byliśmy coraz bardziej zagrożeniu od ognia. Kobiety nie wiedząc co się dzieje na dole postanowiły zejść z tego strychu. Doszły do wniosku, że lepiej zginąć od kuli aniżeli spłonąć żywcem. Zeszliśmy ze strychu. Gdy zeszliśmy ze strychu banderowców już nie było. Przy studni dopalał się drabiniasty wóz który dogaszał Staszek - syn gospodarzy, wodą ze studni, która była usytuowana przy samej drodze od strony podwórza. Natomiast na gnoju dopalało się ciało maszynisty Michała Sokółowskiego – Polaka z Mazurówki – bo gdy zeszliśmy ze strychu, to on już nie żył. Jak długo to trwało, tego nie wiem. Można by dużo pisać o tym dniu, o tym drugim dniu naszej polskiej tragedii w De-

ryłozach. Był to ostatni dzień naszego zamieszkania w Deryłozach. Cdn.

Bruno Brożyniak
Wrocław

Dzieciaki na wojnie (wspomnienia czortkowianina)

Cz. IV

Rozdział IV

Ckm na dachu, moździerz na podwórzu

Nagle do miasta wpadły oddziały sowieckie. Była wiosna 1944 roku. Po Czortkowie wałęsały się jeszcze grupki żołnierzy hitlerowskich. W rezultacie odbyło się kilka bezładnych potyczek, o których potem opowiadali nasi znajomi. A to rosyjski patrol zaskoczył Niemców w czasie mycia, więc uciekali w gaciach, a to na polu koło koszar odbyło się krótkie starcie czołgów i potem w wypalonym tanku zobaczyłem rozbryzgane zwłoki czołgisty. Razem z braciszkiem, schowani za krzakami, widzieliśmy dwu hitlerowskich żołnierzy, którzy biegali między domami – szukali cywilnych łąchów do przebrania. Gdy znienacka ostrzelała ich sowiecka seria, rzucili się zakosami w stronę rowów przy szosie zaleszczyckiej. Na widok kolejnych żołdatów podnieśli ręce do góry, ale to im nie pomogło – dostali kule z pepesz i było po nich.

Najgorsze, najcięższe przeżycia frontowe były dopiero przed nami. Spod Tarnopola ruszyło na plecach Sowietów kilka dywizji hitlerowskich. W rejonie Czortkowa, na polach kilkaset metrów od grupki naszych domów, Niemcy mocno się okopali i zrobili blokadę – korytarz dla swoich wojsk wycofujących się w stronę pobliskiej Rumunii. Nagle znaleźliśmy się na linii frontu. Rozpoczęła się wściekła strzelanina z karabinów maszynowych, armat, do których wkrótce dołączyło przeraźliwe wycie wyrzutni raketowych – katusz. Przerażeni sąsiedzi zbiegli się do naszej głębokiej, murowanej piwnicy. Dom i sad zajęły wojska sowieckie. Ich okopy biegingy na skraju naszego pola. Także domy sąsiadów zostały zajęte przez

wojsko. Tym razem armia sowiecka wyglądała dużo lepiej – żołnierze mieli pepesze z okrągłymi magazynkami, oficerowie nosili naramienniki, jak wojska carskie. Gdy były przerwy we wzajemnym ostrzale, z koszar przyjeżdżała kuchnia polowa, jeśli jej nie było, żołnierze sięgali po swoje zapasy – suchary i konserwy. Głównie była to „tuszonka” – mielonka wieprzowa. Doczytałem się, że pochodziła z Chicago. Jeden z żołnierzy wyjaśnił sprawę:

– Eto pomoszcz naszych amerikanskich sojuznikow.

Żołnierze na zmianę szli do okopów, na patrole. Rannych opatrywały sanitariuszki, w tym młodziutka Tania. W przerwach między walkami żołnierze spali pokotem w naszych pokojach; jak sobie odpoczęli, zaczynały się biesiady i śpiewy. O Katiuszy, „kotoraja wychodziła na bierieg krutoj”, tęsknie brzmiał „Płatok gołuboj” – piosenka o niebieskiej chusteczce, którą luba powiewa ukochanemu. Szczególny nastrój tworzyła piosenka „Tiomnaja nocz” – w czasie frontowej, ciemnej nocy nad głowami żołnierzy świszczą kule. Była także satyryczna wersja tej piosenki – chłopakowi na froncie nad głową gwizdzą kule, a jego dziewczyna z innym idzie sobie do kina. Wesoły nastrój wprowadzały czastuszki – żwawe przyśpiewki, choćby takie: „Moja miła zabołęła, zachotieła mołoka, nie popała pod korowu, no popała pod byka”.

Któregoś dnia na nasze podwórko wparował oddział moździerzy. Ze zdziwieniem razem z małym braciszkiem patrzyłem na krótkie „armatki”, do których pociski wrzucało się przez lufę. Niemcy dosyć szybko zlokalizowali to stanowisko i zaczęli seriami ostrzeliwać nasz dom, na szczęście chroniły nas stare, rozłożyste drzewa, a także to, że dom znajdował się trochę w dolince. Pociski z nagle urywanym bzykiem, jak natrętne osy ginęły w zieleni drzew. Pewnej nocy nadleciał niemiecki samolot i próbował zbombardować nasze domy, na szczęście słabo wycelował i bomby spadły trochę dalej.

Gdy strzelanina cichła, mama biegła do kuchni upitراسić jakiś obiad, tata szedł nakarmić krowę i konia. My z braciszkiem mieliśmy srogi zakaz wychodzenia na ulicę, bo po niej świsnęły pociski.

Jeden trafił młodego lejtnanta, który stacjonował u nas. Wrócił wściekły w zakrwawionych spodniach:

– Job jowo... – przeklinał. – Pula popała mienia w żopu.

– A to co takiego? – spytałem.

– Po waszemu dupa, poniał malczik? – odpowiedział i poszedł na opatrunek do sanitariuszki.

W czasie niektórych wieczorów niebo nad naszymi głowami przeszywały smugi kolorowych pocisków. Rosjanie i Niemcy nawzajem ostrzeliwali samoloty. Gdy któregoś wieczoru gapilem się na kolorowe girlandy, nagle zrobiło się widno jak w dzień.

– Ale pięknie, ale jasno! – zacząłem radośnie wykrzykiwać.

Z domu wypadł młody oficer, fuknął na mnie i braciszka, żebyśmy się schowali i pobiegł po karabin snajperski. A potem jednym cełnym strzałem zgasił niemiecką flarę. I dopiero wtedy wyjaśnił nam – dzieciakom, że piękne oświetlenie było przygotowaniem do nocnego zbombardowania naszych domów.

Nie minęło wiele dni, gdy rozegrał się ogniowy dramat naszych sąsiadów. Korzystając z przerwy w strzelaniu, wpadła do nas Błyszczakowa. Gdy rozmawiała w kuchni z mamą i babcią, nagle rozległy się krzyki:

– Pali się! Goriejet!

Paliły się budynki gospodarcze Błyszczaków – stodoła, stajnia, kurnik. Rodzice z sąsiadką pobiegli do studni po wodę, próbowali gasić pożar, ale to były już straszne, wielkie płomienie. Przywarci do okna patrzyliśmy z braciszkiem, jak wypełniona słomą stodoła zamieniła się w wielkie ognisko. W stajni rozpaczliwie rzał koń, który palił się żywcem. Był przywiązany żelaznym łańcuchem. Sąsiad raz po raz wpadał do stajni, ale w dymie i ogniu nie mógł odwiązać biednego zwierzaka. Za którymś razem ledwo się wyczoił, cały osmolony, w płonącym ubraniu. Z kurnika niczym ruchome pochodnie wylatywały płonące kury. W końcu stodoła i stajnia spaliły się do fundamentów. Sprawcami tragedii byli żołdaci, którzy na dach stodoły wtaszczyli karabin maszynowy, skąd mieli dobry ostrzał niemieckich okopów. Na ten atak hitlerowcy odpowiedzieli seriami pocisków zapalających. Nawet teraz, gdy piszę te

słowa, w mózg wwierca mi się rozpaczliwe rzenie konia, który powoli ginął w ogniowej męczarni.

Przez kilka dni po tym pożarze nie mogliśmy się uspokoić. Spaliśmy w piwnicy bardzo nerwowo. Rodzice raz po raz wybiegali na podwórko patrzeć, czy od niemieckich pocisków nie zapalił się nasz dom. Rażniej czułem się z żołnierzami, zwłaszcza z plutonem, który podsypiał w pokoju babci. Śpiewałem z nimi piosenki, nieraz razem z braciszkiem słuchałem rubasznych dowcipów. Szczególnie przyglądałem się drobnemu wesołkowi – Wasi. Miał wyraźnie skośne oczy i żartował, że pewnie jest prawnikiem jakiegoś tatarskiego chana, który ongiś grasował po moskiewskim księstwie. Któregoś popołudnia wszedłem do nich w czasie dziwnej dyskusji. Usłyszałem urywki zdań:

– Eto swołocz!

– Job jewo... On strelajet w spinu...

– Jewo nužno ubit' kak sobaku...

Najwięcej perorował Wasia. Na mój widok żołdaci ucichli speszeni. Wasia potem po cichu objaśnił mi, o co chodzi. Mają na karku politruka, który w czasie ataków na wroga idzie z naganem w rękę i popędza żołnierzy. Gdy któryś się opóźnia, chowa po krzakach – strzela mu w plecy. A lada dzień ruszą do ataku na niemieckie okopy, bo już przywieziono zapasy spirytusu. Tuż przed atakiem żołnierze dla kurażu dostają po pół stakana – szklanki spirytusu i ruszają do szturmów. I wkrótce nad ranem ruszyli. W domu zrobiło się cicho, Niemcy jednym uderzeniem zostali wyparci ze swoich pozycji. Część naszych żołnierzy wróciła po swój cięższy sprzęt. Do koszar zwożono rannych. Spytałem co z Wasią?

– Wasia ubit. Pogib za rodinu, za Stalina! – usłyszałem w odpowiedzi.

Kręciłem się nieswój po domu, wspominając podsłuchaną rozmowę. Od czyjej kuli zginął zbyt gadatliwy Wasia? To pytanie już na zawsze pozostało bez odpowiedzi.

Po przegnaniu Niemców wokół nas zrobiło się dziwnie bezludnie, dom opustoszał, skończyły się kanonady armat, wycie katusz, poszczekiwanie działek przeciwlotniczych, serie z karabinów

maszynowych. Z ciekawością zacząłem biegać po opuszczonych okopach. Na równinie koło koszar rozegrała się bitwa czołgów. Kilka, zarówno niemieckich, jak i rosyjskich, stało wypalonych. Zajrzałem do rosyjskiego. Wewnątrz był zbryzgany krwią i jakimś strzępkami – chyba mózgu nieszczęsnego tankisty. Potem w pobliżu koszar natknąłem się na płytki lej, chyba po minie. W leju leżał rozerwany but i grudki ziemi z zakrzepłą krwią. Pod jakimś krzakiem wypatrzyłem karabin z ułamaną kolbą, szybko znalazłem amunicję i z uciechą strzeliłem. W załomie jednego z okopów odkryłem kilka granatów – jajek, a także większe – przeciwczołgowe. Wszystko to ostrożnie zaniósłem do sadu i schowałem za krzakami maliniaka. Wkrótce mój arsenał powiększył się o karabin dziesięciostrzałowy – także uszkodzony, ale potrafiłem z niego strzelać pojedynczymi nabojami. W pobliżu koszar wpadł mi w ręce niemiecki panzerfaust. Oparłem go na brzuchu i zacząłem szarpać za klamrę. Gdyby rzeczywiście wystrzelił, pewnie skończyłbym w mękach z wypalonym brzuchem.

W tych wojennych zabawach, a chyba przede wszystkim podświadomych odruchach obronnych, poczuciu zagrożenia, zapomniałem, iż mam w domu asystenta – braciszka, który z reguły chodził za mną trop w trop. Szybko wypatrzył mój arsenał i koniecznie chciał strzelić z karabinu. Ostrzegłem go, że wintowka ma silny odrzut, ale się uparł. Załadowałem broń, kazałem mocno przycisnąć do ramienia, ale to było ponad siły siedmiolatka. Po strzale syknął z bólu i wywinął kozła. A wkrótce odnalazłem go w głębokim okopie, jak sobie siedział i metodycznie bawił się kupką granatów. Właśnie wziął do rączki kolejne jajko i zaczął wykręcać zapalnik – dobrze, że nie szarpnął za zawleczkę. Dostał ode mnie lanie, ale w jakiś czas potem omal nie załatwił babci, która poszła do ogrodu nakopać warzyw. Wróciła mocno zdziwiona:

– Niebo czyściutkie, bez jednej chmurki, a jak ja wracała, to grzmiało. Durnowata pogoda jakaś – rzekła z zadziwieniem.

Ale to nie była sprawa pogody, tylko popis mojego braciszka, który na skraju sadu rozpałił ognisko i potem do żaru nawrzucał całe garście pocisków karabinowych, a chyba także większych –

przeciwlotniczych, bo kanonada była ostra. Widocznie nad babcią czuwała opatrność, że żaden jej nie trafił.

Gdy poszliśmy z mamą do miasta, spotkał nas szok. W centrum stały szubienice, na których kołysały się trupy powieszonych. Na piersiach mieli zawieszane tabliczki informujące, że byli zdrajcami ojczyzny. Ten wiszący najbliżej nas miał w kroku mokre spodnie.

– Mamo, czy on się zsiął ze strachu? – spytałem.

– Kiedy człowieka wieszają, przerywają się jego kręgi szyjne, następuje paraliż, brak czucia – po cichu odpowiedział mi jakiś dorosły gap.

Po frontowych, ciężkich przeżyciach zaczęliśmy wtapiać się w sowiecki żywot. Poszedłem do szkoły, ale cofnęli mnie o jedną klasę i znowu wylądowałem w czwartej. Do szkoły zaczął chodzić mój braciszek. Prawie na dzień dobry dostał po plecach od nauczyciela za to, że nie mówi po ukraińsku.

Gdy dotarła wieść o polskim wojsku, tata zgłosił się do I Armii LWP, z którą potem przeszedł szlak bojowy poprzez Warszawę, ciężkie walki w rejonie Wału Pomorskiego, Kołobrzegu, aż dotarł prawie pod Berlin. Tragedię przeżyła rodzina Błyszczaków. Sowietci aresztowali ich ojca oraz Staszka. Nestora rodu po pewnym czasie wypuszczono, ale w więzieniu był bity i już nigdy nie wrócił do pełnego zdrowia. Ukraiński patriota Staszek zniknął na zawsze w jakimś łągrze. Nam żyło się biednie. Brakowało pożywnego jedzenia. Zacząłem coraz gorzej widzieć. Gdy poszliśmy z mamą do lekarza, ten stwierdził:

– On ma oczy w porządku, tylko jest mocno zabiedzony. Trzeba mu gotować rosółki, chleb smarować masłem, w którym jest dużo witaminy A.

– Skąd ja wezmę masło, nie mamy rubli – zmartwiła się mama.

Rozwiązanie znalazła nieoceniona babcia. Pochodziła po swoich kumoszkach i skądś przytaszczyła drewnianą maselnicę. Wlewało się do niej śmietanę i pracowicie kołatało tłuczkiem. Świeże maselko z pulchnym chlebem, wypiekany na liściach ka-

pusty w domowym piecu, to był prawdziwy smakołyk z czasów dzieciństwa, w którym mało było chwil radosnych.

Krok po kroku wokół nas, Polaków, zaczęła się tworzyć presja repatriacyjna. Raz po raz odwiedzali nas miejscowi urzędnicy, pytając, kiedy zamierzamy wyjechać. Szczególnie jeden był natrętny. Któregoś dnia znowu stanął przed naszą bramą. Na ukraińskie „Dobryj deń” odpowiedziałem grzecznym „Dzień dobry”. A on na to fuknął na mnie:

– A ty szczo? Ne wmijesz howoryty po naszomu?

– No, nie umiem. Dobrze rozumiem, ale... ale... ne wmiju bałakaty.

– Ty Polaczok... wam treba jichaty w Polsce. Tut teper je republika ukraińskoho naroda. Peredaj to mamie! – dodał i zaciął konia bacikiem.

Narastały wyjazdy Polaków z Czortkowa. Kuzyna Romka Jakubowskiego już w 1944 roku objął pobór do polskiego wojska, konkretnie do I Armii LWP. Na raty zaczęła się przemieszczać rodzina Skrabków. Najpierw w marcu 1945 roku wyjechał mój cioteczny brat Heniek. Miał dziewiętnaście lat, gdy zaczął we Wrocławiu pracować jako SOK-ista. Po kilku miesiącach przyjechał do niego tata Karol. Ciocia Cesia na wiosnę 1946 roku najpierw pojechała z transportem repatriacyjnym jako konwojentka, chcąc naocznie rozeznąć sytuację, a po powrocie zdecydowała się na repatriację.

Nasza mama, bardzo mocno przywiązana do domu, do ojcowizny, długo wahała się, co ma zrobić. Ja mimo swoich czternastu lat nie miałem wątpliwości:

– W Czortkowie nie ma już Polski i nie będzie! – mówiłem zdecydowanie.

– A to wszystko nasze tak zostawić i jechać w nieznane? – wątpiła mama.

– Ja nie chcę tutaj zruszyć się do dna. Jak mama nie będzie jechać, to wkradnę się do któregoś transportu i jakoś prześlizgnę się przez granicę do Polski! – powtarzałem wiele razy.

Ale to nie były łatwe i proste decyzje – zostawić dorobek całego życia, pracę wielu pokoleń i jechać w nieznaną. Zwłaszcza dla takich ludzi, jak moja mama, ogromnie przywiązana do swej ojcowizny: zagrody, pięknego sadu i ogrodu oraz żyznej, podolskiej ziemi. Ale z ziemią sytuacja była wątpliwa – utworzono kołchozy i grunty prywatne krojono wedle uznania. Mama była rozdarta rozterkami. Chodziła po rodzinie, znajomych, pytając, co ma robić. W końcu wymyśliła takie rozwiązanie: my w trójkę wyjedziemy, dom, sad, ogród został przepisany na babcię, którą miała opiekować się ciocia Andzia i ukraińscy sąsiedzi. Zaczęła się wyprzedaż mebli, odzieży, pościeli, różnych sprzętów. Bo też ile można wziąć do połowy wagonu towarowego – taki przydział w transporcie repatriacyjnym dostawała jedna rodzina. W czasie pakowania wyciągnąłem z zakamarków portret Piłsudskiego.

– I co? Bierzymy naszego marszałka? – zagadnąłem mamę.

– Ani się waż. Jakby zobaczyli żołdaci, to możemy pojechać w całym innym kierunku!

– A może wezmę swój karabin, ten krótszy? Zawinę w jakieś szmaty...

– Czyś ty zgłupiał? Zostaw to żelastwo, zakop gdzieś! Natychmiast!

– huknęła mamcia.

Zebrałem mój cały arsenał i późnym wieczorem zakopałem w leju po hitlerowskiej bombie.

Zaczęły się przygotowania do transportu. Do połówki wagonu przy pomocy rodziny i sąsiadów zwieźliśmy podstawowy dobytek: odzież, łóżka z pościelą, jakąś komodę, naczynia kuchenne, żelazny piecyk, wiadra – jedno w roli ubikacji, a także... krowę i konia. Gdy w jeden z majowych dni 1946 roku nadszedł czas odjazdu, wszyscy – pozostała rodzina, sąsiedzi, znajomi – płakaliśmy jak bobry. Tylko babcia dziwnie przygarbiona stała przy bramie i już nawet nie płakała, bo wszystkie łzy wyszłochała wcześniej. I nie miała w ręku niebieskiej chusteczki – tej z frontowej piosenki, gdy my wyruszyliśmy do nowego portu, do nowego życia. Wtedy nie wiedziałem, iż babcię widzę po raz ostatni. Została, żeby pilnować domu, bo my ponoć wyjeżdżaliśmy tylko na jakiś czas.

Wreszcie ruszyliśmy. W wagonie było ciepło, ale panował smród. Miarowy stuk kół oraz zaduch wciągał w drzemkę. Gdy pociąg stawał, ludzie wynosili kubły z nieczystościami, biegali po wodę, szukali świeżego pieczywa. Zaczął się powtarzać pewien rytuał – pociąg nie odjeżdżał, kolejarze twierdzili, że zabrakło węgla do parowozu. Wtedy repatrianci robili składkę na wódkę dla maszynisty i jego kumpli. Spirytus cudownie zamieniał się w węgiel i ruszaliśmy dalej.

Wreszcie – po bez mała dwu tygodniach – nadeszła ta chwila, o której marzyłem. Brudnawy i zawszony – w czasie transportu od kogoś złapałem wszy – pod Przemyślem zobaczyłem polskich żołnierzy i polskie flagi. Zrobiło mi się błogo na duszy, wpadłem w euforię, zacząłem krzyczeć do rodziny:

– Patrzcie, są nasi, tam, w mundurach! Nasi są!

Przecież od najmłodszych lat miałem proste skojarzenie – gdy jest polskie wojsko, to znaczy, że jest polskie państwo. Wśród mundurów wypatrywaliśmy tatę, ale nie przyjechał. Potem się tłumaczył, iż kolejarze nie potrafili mu podać daty przyjazdu naszego transportu. Cdn.

Bogusława Duszkiewicz

Kazimierz Orlicz

Bydgoszcz

Wspomnienie o deportacji z Podola (Ze Strusowa pow. Trembowla do Kazachstanu) cz. III - ostatnia

Bogusława Duszkiewicz: - *Podtytuł naszej rozmowy sugeruje, że opowiesz nie tylko, że żyliście tam w okrutnym niedostatku i głodzie, ale też, że miejscowa ludność była wam życzliwa, wbrew propagandzie, że oto przybyli „polskije pany”, których Stalin nakazał Berii „dieportировat’”, a ten – po wykonaniu zadania – meldował wo-*

dzowi: „Pogrużony w eszelony i otprawleny k miestam posielenij”¹. Ale te miejsca przesiedleń nie były gotowe na wasze przybycie, skoro przez wiele dni trzymano was na zupełnym pustkowiu, nad jeziorem Sasyk-Koł, w naprędcie wykopanych ziemiankach, gdzie byliście tylko wy i pilnujący was cywilni pracownicy NKWD.

Kazimierz Orlicz: – O nieprzygotowaniu „miest posielenij” do zakwaterowania nas na fermach sowchozu Kara-Koł świadczą dwa fakty:

- Długi postój naszego eszelonu w Nowosybirsku, vis-à-vis dużego osobowego dworca, pomalowanego wtedy na niebiesko, z potężną nazwą „NOWOSIBIRSK” na dachu dworca, który pamiętam do dziś, bo staliśmy tam dłużej niż jedną dobę zanim w nocy ruszyliśmy na południe przez ówczesny Semipałatyńsk (teraz Semej) w kierunku Ałma-Ata (ówczesnej stolicy Kazachskiej SRR);
- Gdy o poranku nasz eszelon, po nocnym rozformowaniu go na stacji Żangiztobe, by wyładować zesłańców przeznaczonych do sowchozów po północnej stronie gór Tarbagataj, wokół jeziora Zaj-san, dotarł do docelowej dla nas stacji Ajaguz, to zamiast zawieźć nas ciężarówkami wprost do ferm sowchozu, zawieziono na zupełnie pusty, płaski, trawiasty step, na którym, jak okiem sięgnąć, widniały tylko dziwne kopce (wyglądające jak coś w rodzaju pola usianego potężnymi kretowiskami). Okazało się, że są to świeżo wykopane ziemianki wyścielone grubą warstwą świeżej słomy, z dachami wykonanymi z belek i świeżo ściętych gałęzi, pokrytymi słomą i grubą warstwą świeżo wykopanej ziemi. Wyglądały jak nasze wiejskie piwnice bez okien. Każdą rodzinę ulokowano w jednej z takich ziemianek i rozdano „kipiatok”.

Dopiero następnego dnia, gdyśmy się obudzili, zauważyliśmy, że z ziemi, stanowiącej ściany ziemianki, wydobywa się biała warstwa soli, a w następnych dniach mój Dziadek odkrył, że z ziemi, pod ową grubą warstwą słomy, wydobywa się woda. Gdy Dziadek wykopał dołek o głębokości jednego sztychu łopaty, to dołek wypełniał się wodą. Byliśmy więc na rozległym terenie płaskiego

¹ S. Ciesielski, *Polacy w Kazachstanie w latach 1940–1946*. Wrocław 1996, s. 309.

solniska, które na mapach oznacza się symbolem o ang. nazwie „salt flat” (ros. „*солончак*”), za którym ciągną się równie rozległe błota aż do brzegu słonego jeziora Sasyk-Koł. Jakakolwiek ucieczka przez te błota byłaby wykluczona, choć historia zna dzielnych Polaków, którzy zimą, gdy ich ślady zawiewał śnieg, zasłynęli ucieczką z łagru na dalekiej północy Syberii i przez Mongolię dotarli aż do Chin i dalej. Ich epopeję przedstawia znany amerykański film *Niepokonani* (ang. *The Way Back*) z 2010 roku. Wśród nas też byli dzielni młodzi Polacy, którzy potrafilo z zapadłego w górach posiołka, odległego o ponad 120 kilometrów od stacji Ajaguz, dotrzeć daleko na południe ZSRR, do formującej się armii Andersa i wziąć udział w zwycięskiej bitwie o Monte Cassino. Pamiętam tylko nazwisko starszego z nich (Malarz) i imię młodszego (Edward), który poległ w tej bitwie – jak głosiła wieść, która do nas, pozostających nadal w górach, dotarła. Może ktoś kiedyś uzupełni te dane.

Po kilku dniach pobytu na tym pustkowiu rozwieziono nas ciężarówkami po fermach sowchozu Kara-Koł. My, wraz z wieloma innymi rodzinami, trafiliśmy do posiołka Żejpak w wąwozie rzeki płynącej z gór Tarbagataj, przez Taskesken i wieś Kara-Koł (być może ta wieś była centralą naszego sowchozu) do jeziora Sasyk-Koł. Ta rzeka i te miejscowości (z wyjątkiem Żejpak) są na mapach w skali 1:3 000 000. Natomiast Żejpak na mapach satelitarnych ma obecnie nazwę Uchashchi (odpowiednik ros. nazwy fermy: Ucz-Aszczi, sowchozu Kara-Koł w rejonie [powiat] Ajaguz). Teraz Taskesken i Ucz-Aszczi należą do rejonu Urdżar. Miasto Urdżar jest mi też bliskie, bo tam nocowałem w domu gościnnego Kazacha. Pod Urdżar urodził się odkrywca słynnych dziś petroglifów pod Taskesken (zob. *taskesken petroglyphs* w Google).

Miejscowości Ajaguz, Taskesken i Żejpak bardzo chciałbym jeszcze odwiedzić, bo tam, w życzliwym otoczeniu ludzi – zarówno starszych jak i moich rówieśników – przeżyłem moje chłopięce lata bez obaw, że mnie napadną i pobiją tylko dlatego, że jestem Polakiem. Przeciwnie, bycie Polakiem to był swego rodzaju splendor – wbrew faktowi, że w tym czasie, popularną piosenką, uczoną w szkołach, była pieśń o kawalerii Budionnego z takimi oto słowami:

„*Pomniat psy, atamany, Pomniat polskije pany, Konarmiejskije naszy klinki*”². Nigdy nikt, ani na lekcji śpiewu, gdy w Żejpak uczyliśmy się tej piosenki (która zrównywała polskich panów z psami i czarną sforą, jak głosiła inna zwrotka tej piosenki), ani na ulicy, nie dał mi odczuć, że bycie Polakiem to coś negatywnego. Przeciwnie, np. dziadek jednego z wielu moich kolegów w Żejpak – Piet’ki, o którym już wspominałem – na moje pozdrowienia „*Zdrawstwujcie, Dieduszka*” często żartem odpowiadał: „*Bud’ zdorow chrabryj [dzielny] polskij pan*”. Być może słowo „*chrabryj*” pochodziło stąd, że za młodu Dieduszka służył w armii carskiej i w bitwie pod Kostiuchnowką (1916) poznał waleczność Legionów Piłsudskiego, bądź jako wojak bolszewicki, w 1920, oberwał pod Warszawą i od Rydza-Śmigłego, którego wojska ścigały bolszewików hen, aż za Niemen. Ostatni raz widziałem dziadka pewnego dnia, w czasie gdy (w terminologii gazet) „*niemiecko-faszystskim zachwataczikam udalot*” zająć (kolejną) miejscowość „*N*”. Dieduszka zabrał mnie wtedy – spotkanego na ulicy – na jakieś zebranie (mityng) w budynku szkoły poświęcone wojnie i zakończone zbiórką pieniędzy na „bohaterską Armię Czerwoną”. Siedziałem wtedy u boku Dieduszki, tuż przy ścianie na końcu sali, przytulony do niego i otulony jego kożuchem. Pamiętam tylko dwa fragmenty tego mityngu. Pierwszy, gdy Dieduszka zabrał głos, a fragment jego wypowiedzi brzmiał tak: „*Naszym widno pul nie chwatajeť*” [*Naszym widocznie kul brakuje*], bo tym „*Niemcom*” udaje się zajmować kolejne miejscowości „*N*”. Pytał też, jakie nazwy kryją się pod symbolem „*N*”. Następnie, gdy ktoś z zebranych, kładąc banknot na stole przydzielonym, powiedział: „*Krasnyje dien’gi na Krasnuju Armiju*”.

W kolejnych dniach rozeszła się wiadomość, że Dieduszkę (dziadka Piet’ki) „*zabrali*” [*aresztowali*] – podobno z donosu ojca Piet’ki, który na tym mityngu w szkole siedział za stołem przydzielonym jako ważny aktywista. Owo złowieszcze słowo „*zabrali*” usłyszałem z ust Piet’ki w zimie 1944, gdy zaczynał się okrutny głód. Ale opowiem o tym później, bo to straszne wspomnienie.

² *Pamiętają psy i atamani, Pamiętają polskie pany Konnej armii nasze szable.*

– *Przejdźmy do emocjonalnie ważnych dla Ciebie dygresji związanych z miejscowościami: Ajaguz, Taskesken i Ucz-Aszczi (dawny Twój Żejpak), gdzie przeżyłeś szczęśliwy upadek ze skały Twego kolegi Kazacha podczas wspólnej wyprawy, by upolować gołębie w trudno dostępnych pieczarach.*

– Pierwsza dygresja dotyczy próby dotarcia do Ajaguz w 1972 roku. Druga – współczesna, to moje marzenie: być ponownie w Taskesken, by zobaczyć niedawno odkryte historyczne petroglify w górach pod Taskesken. Oto te dygresje: W 1972 byłem przez miesiąc na stażu w Syberyjskim Oddziale Akademii Nauk ZSRR w Miasteczku Akademickim (Akadem-Gorodok) położonym nad zalewem rzeki Ob pod Nowosybirskiem, gdzie wybudowano osiedle rozrzuconych w lesie bloków mieszkalnych dla pracowników tego oddziału AN ZSRR i Nowosybirskiego Uniwersytetu. Często autobusem miejskim jeździłem do Nowosybirsk, by popatrzeć na dworzec kolejowy, który wyglądał tak samo, jak w 1940 roku (niebieski gmach dworca z tym samym napisem „NOWOSIBIRSK” od strony torów, na których stał nasz eszelon). Pewnego dnia pomyślałem sobie, że jako pracownik Politechniki Wrocławskiej, a więc z kraju „bratniej wspólnoty narodów socjalistycznych”, przebywający w tamtejszym ważnym ośrodku naukowym i mający formalne zameldowanie w Akadem-Gorodku, będę mógł kupić bilet „powrotny” do stacji Ajaguz (ok. 970 kilometrów na południe od Nowosybirsk), by zobaczyć „moje” powiatowe miasto Ajaguz, w którym mieszkałem w internacie (1944/45). Miałem nadzieję, że odnajdę tam kolegę Timkę (fajnego kumpla z internatu), którego rodziców, mieszkających nad strumykiem na wschodnich peryferiach Ajaguz, odwiedzaliśmy wielokrotnie z Timką i do dziś pamiętam trasę od dworca do ich domu. Mój plan zakończył się fiaskiem, bo kasjerka zażądała „propusk”. W końcu rozmowy kasjerka powiedziała mi ze współczuciem: „*k sozaleniju, niezlia*” [*niestety, nie można*] i dała mi do zrozumienia, że rozmowa z obcokrajowcem jest dla niej niebezpieczna.

Do dziś mam żal do owej „wspólnoty narodów”, bo gdybym w Ajaguz odnalazł Timkę, to z jego pomocą udałbym się dalej

(100 kilometrów) szosą do wsi Taskesken, gdzie mieszkałem od wiosny 1944 roku do lata 1946 i miałem wielu kolegów – Rosjan i Kazachów oraz kolejno podkochiwałem się w trzech ślicznych dziewczynach o imionach: Lubow, Raisa i Tamara. Babcia pierwszej, Jewdokija Pantielejmonowna, nazywała mnie „*uchażorom*” (zalotnikiem) jej wnuczki i „była mi rada”, bo byłem „*poliskij pan*”. Zawsze, gdy szedłem ulicą, a babcia z wnuczką były na podwórku ich lepianki, często słyszałem głos babci: „*Luba, oto idzie twój uchażor*”, zanim zdołałem powiedzieć „*Zdrawstwujcie Jewdokija Pantielejmonowna*”. Ze względu na nasz (polski) „*szypiaszczij*” [syczący] język (słyszany z owego „*Chrzyszcz brzmi w trzcinie*”) nazywano nas żartobliwie „*Pszykami*” (chyba od słowa „*przepraszam*”, którym Polacy, na początku ich pobytu, zwracali się, nie znając jeszcze słowa „*izwinitie*”). Często też babcia Jewdokija, żartując, zamiast: „*idiot twój uchażor*” mówiła: „*idiot twój pszyk*”, na co wnuczka zawsze odpowiadała: „*Nikakoj on pszyk, on że poliskij pan*” i wtedy babcia na moje „*zdrawstwujcie*” odpowiadała: „*Zdrawstwuj, poliskij pan*”. Takie były żarty sędziwej pani Jewdokii Pantelejmonowny, naszej niedalekiej sąsiadki, która często (albo jej wnuczka) przechodziła ścieżką obok naszej lepianki po wodę do pobliskiej rzeki, tej samej, która przepływała przez Żejpak, ale tam pobieraliśmy wodę do picia i gotowania ze źródła tryskającego spod potężnej skały (jednej z kilku zwisających nad Żejpakiem), a nie z rzeki, w której kąpaliśmy się, skacząc z nadbrzeżnych skał do wody, pełnej węży polujących na ryby w gęstwinie wodorostów. Te węże wodne nigdy nas pływających nie atakowały, w przeciwieństwie do żmij na kamienistym stepie, które były bardzo niebezpieczne, gdy w lecie zbieraliśmy do worka zeschnięte krowie łajna na opał na zimę.

Dziewczynę o imieniu Raisa to nawet pocałowałem, bo za namową kilku kolegów Rosjan oświadczyłem się publicznie: „*Ja chcuzu, Raja, s toboj gulat*”³. (*ja chcę, Raju, z Tobą chodzić*). Po

³ Zamiast „*ja chcuzu, Raja, s toboj gulat*” powinienem był powiedzieć „*Nu dawaj, Raja, s toboj gulat*”, bo pamiętam rosyjską pieśń, którą w zimowe wieczory, przedąc wełnę owczą, śpiewały kobiety w Żejpak. Jej fragment brzmiał:

tych moich oświadczeniach koledzy wykrzyknęli: „*Nu tiepier' pocelujties*”, co uczyniłem, choć nie wiem czy profesjonalnie, bo pierwszy raz w moim życiu pocałowałem dziewczynę (zima 1945/46). Odwaga, na którą wtedy się zdobyłem, wynikała stad, że owi koledzy Rosjanie przyszli po mnie (do lepianki, gdzie mieszkaliśmy razem z rodziną Kazachów, w dwóch oddzielnych izbach – po przeciwnych stronach sieni), bym dołączył do gromady naszych rówieśników, którzy zgromadzili się w innej lepiance, tuż przy szosie biegnącej przez Taskesken, oraz że wysłała ich po mnie właśnie Raisa – jedna z pięknych przywódczyń gromady moich rówieśników. Byłem tam jedynym Polakiem wśród Rosjan i to oni, w drodze (ok. 500 metrów), namawiali mnie, bym się Raisie oświadczył. Następnym razem pocałowałem dziewczynę już w Polsce, w 1949, bo jako „nieokrzesany” chłopak z kazachskich stepów, niedawny pastuch owiec, władający złą polszczyzną, byłem zbyt nieśmiały, by podrywać polskie dziewczyny. Dla mnie były to wtedy „wielkie paradnice”, niczym hrabianki w porównaniu do „krasawic” ze wsi Taskesken (ale ta wieś jest na prawie wszystkich mapach i stała się ostatnio słynna dzięki odkryciu petroglifów⁴ wyrytych na skałach w pobliskich górach, o czym nikt wtedy z nas nie miał pojęcia).

Gdyby nie ów nieszczęsny „*propusk*” konieczny przy kupnie biletu, to bym odwiedził te dziewczyny, a na pewno odszukałbym kolegów z Taskesken – Rosjan i Kazachów. Z map satelitarnych wiem, jak wygląda współcześnie Taskesken; rozpoznałem wszystkie lepianki (po zachodniej stronie rzeki), gdzie kolejno mieszkaliśmy, oraz tę, w której mieszkała Lubow Gusakowa z babcią Jewdokiją. Nazwisk Raisy i Tamary już nie pamiętam, ale zapamiętałem ostatnie słowa Tamary, gdy spotkałem ją na moście drogowym tuż

„*On prosil jejo, ugowariwał: dawaj, Gala, s toboj gulat*” [On prosil ją, namawiał: *zaczniemy, Halu, ze sobą chodzić*], gdzie typowo rosyjskie „*dawaj*” (lepiej: „*nu dawaj*”) nie ma odpowiednika w języku polskim, bo odpowiednik „*zaczniemy*” to „*naczniom*”.

⁴ By zobaczyć te niezwykle petroglify, odkryte przez prof. M. Kursabajewa, urodzonego w chutorze pod Urdzar, wystarczy w Google podać: „*taskesken petroglyphs*”.

przed naszym wyjazdem do Ajaguz, by tam oczekiwać na transport do Polski. Powiedziała wtedy: „*Ja oczen' chotiela b pojechať s toboju w Polszu*” [*Bardzo bym chciała pojechać z tobą do Polski*].

Posłowie od autora

Proszę nie traktować tego, co wyżej, jako sentymentalne wynurzenia staruszka. Chciałem natomiast powiedzieć, że – w przeciwieństwie do okresu od września 1939 do kwietnia 1940 na Podolu, gdy młodzi Ukraińcy bili swych rówieśników Polaków – na zsyłce w Kazachstanie, we wszystkich miejscowościach (Żejpak, Taskesken, Ajaguz oraz na pustkowiu, 4 kilometry od Żejpak, gdzie były tylko dwie lepianki: nasza i Kazachów) czułem się bezpiecznie wśród Kazachów, Rosjan i innych narodowości, np. Tatarów krymskich, w których lepiance często bywałem wieczorami i słuchałem ich ciekawych opowieści z Krymu. Także wojowniczo wyglądający Czeczeni byli przyjaźni.

Gdy jako sowchozowi przewoźnicy towarów, jadąc polną drogą (były tylko dwie koleiny od kół na stepie) parą wołów z Żejpak do Urdżar (ponad 60 kilometrów), zmuszeni byliśmy zanocewać na pustym stepie, by dać odpoczynek i możliwość popasu wołom, to nie przstraszył nas nawet tętent końskich kopyt, którymi trzech Kazachów do nas podjechało. Przywitali się uprzejmie słowami, których już nie potrafię powtórzyć, i po tradycyjnym zapytaniu „*Kajda barasyn?*” (które każdy Kazach życzliwie zadaje napotkanemu człowiekowi), pognali dalej, radząc na odjezdnym, byśmy pilnowali pasących się zwierząt przed wilkami, których w pobliskich górskich wąwozach było sporo. Ale latem wilki „nie były nam straszne”, bo w zimie każdego dnia z nimi obcowaliśmy.

Igor Megger
Poznań

Z dziejów Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” w Busku (pow. Kamionka Strumiłowa) cz. II –ostatnia

Buski „Sokół” w II RP – krótko po odzyskaniu przez Polskę niepodległości Buski „Sokół” przeżył bardzo ciężkie czasy. W 1919 roku sokolnia została spalona przez oddziały ukraińskie. Ocalał natomiast sztandar ukryty podczas całej wojny przez Mariana Lacka – jednego z członków zarządu. W 1920 roku buski „Sokół” poniósł pierwszą krwawą ofiarę. Latem 1920 roku do domu Józefa Jasińskiego przyszło dwóch czekistów, którzy aresztowali go. Do płaczącej młodej żony z dzieckiem powiedzieli po rosyjsku: „nie płacz, mąż zaraz wróci”. Józef Jasiński do domu nigdy nie wrócił. Prawdopodobnie został zamordowany przez Sowietów. Przed I wojną był sędzią w sądzie grodzkim i orzekał w nieczystej sprawie kupieckiej. Jako bezpośredniego sprawcę wymieniało się niejakiego Seklera, który uciekł z wojskami bolszewickimi.

Po zakończeniu wojny polsko-bolszewickiej, w latach 1921–1925 odbudowano sokolnię, którą 26 kwietnia 1925 otwarto. Poświęcenia dokonał proboszcz ks. Wojciech Stuglik. Wśród kilkunastu podpisów pod zachowanym aktem poświęcenia widnieją m.in. Mariana Sobola – notariusza w Busku (późniejszy prezes gniazda), Tadeusza Malisza – naczelnika sądu, Tadeusza Żebrowskiego – prezesa „Sokoła” oraz Kazimierza Balickiego – gospodarza budynku „Sokoła”. Z okazji poświęcenia zachował się także piękny patriotyczny wiersz, napisany prawdopodobnie przez Stefaninę Maliszównę – córkę Tadeusza Malisza.

Z gruzów i ruin, z wojennej pożogi

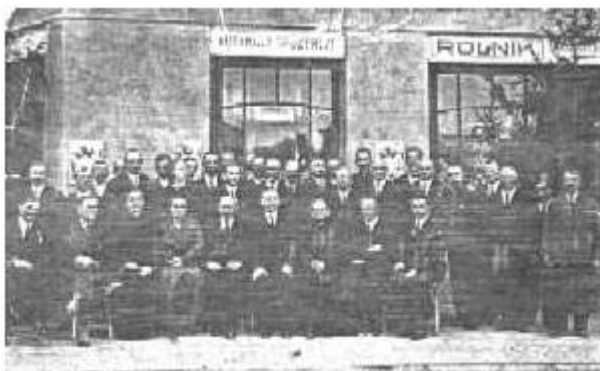
Wzniesiony trudem dobrej woli

Zmartwychwstaje nasz polski dom drogi

Dźwiga się z gruzów budynek sokoli

Zmartwychwstaje i otwiera wrota

*I woła wszystkich do czynu, do pracy
 Niech brzmi radośnie nasza święta „Rota”
 A my śpiewając ślubujemy rodacy:
 Że strzec będziemy naszej polskiej mowy,
 Że nie oddamy ani piędzi ziemi,
 Że strzec będziemy i czynem i słowy
 Cośmy zdobyli rękami własnymi.
 Ślubujemy że Polska tak nam będzie święta
 I taka droga, jak matka rodzona.
 I niechże każdy druh – sokół pamięta,
 Że polska ziemia jest nienaruszona.
 I żeśmy wszyscy jednej ziemi dzieci
 Złączone w myśli i sercu i czynie.
 Niechże w tym domu bratnia miłość świeci.
 Jak gdyby w jednej ogromnej rodzinie.
 Pracujemy razem! Ramię do ramienia!
 Jednością silni, pełni dobrej woli.
 Spełniamy Ojców i Dziadów marzenia.
 Nieśmy wysoko nasz sztandar sokoli.
 Pracujemy razem z serdecznym zapalem.
 Niech nas nic z drogi zawrócić nie zdoła.
 „Bóg i Ojczyzna” – naszym ideałem!
 „Bóg i Ojczyzna” – to świętość sokola!*



Uroczyste otwarcie nowo wybudowanego budynku

Co działo się w buskim „Sokole” w latach 1925–1939? Tak jak w innych gniazdach organizowano ćwiczenia – na jedynej w mieście sali gimnastycznej, która znajdowała się w sokolni. Na sali widowiskowej występowały amatorskie zespoły teatralne oraz odbywały się uroczystości i akademie patriotyczne. Współpracowano z działającymi w Busku Strzelcem, harcerstwem czy Katolickim Stowarzyszeniem Młodzieży. Dla rozwijania sportu wodnego zakupiono w 1938 roku 15 dwuosobowych kajaków, uczestniczyły one potem jako dodatkowa atrakcja w czasie „Dni Morza”⁵. Brano udział w wojewódzkich zlotach sokolich. W 1929 roku delegacja z Buska uczestniczyła w zlocie w Poznaniu, a w 1939 roku ze sztandarem we Lwowie.

W 1928 roku młodzież żeńska i męska brała udział w Marszu Zadwórzeńskim organizowanym ku czci poległych Orląt Lwowskich. W Zadwórze, oddalonym od Lwowa ok. 40 km, usypane były kurhany – mogiły dzieci lwowskich poległych w czasie obrony Lwowa w 1920 roku w walce z bolszewikami. W marszu udział wzięła drużyna męska składająca się z 13 osób pod komendą druha Longina Małego, która zajęła II miejsce z czasem 6 godz. i 11 min. Marsz indywidualny kontynuowały dwie drużyny i dwóch druhów⁶.

Praca instruktorska była bezpłatna, honorowa, młodzież natomiast zwolniona była ze składek członkowskich. Pod koniec lat 30. liczba starszych członków, którzy płacili składki, wynosiła 60–80 osób. Stan młodzieży męskiej wynosił 35–38 osób, żeńskiej 22–25. Ćwiczenia odbywały się raz w tygodniu, przed zlotami dwa razy.

W tym miejscu należy także przypomnieć kilka osób, które z buskim „Sokołem” były w latach 30. związane. Prócz wymienionych wśród podpisów pod aktem poświęcenia przypomnieć należy: M. Wachowicz – zastępca prezesa, Marian Lacek – sekretarz i kierownik biblioteki, który w latach 1914–1918 ukrywał sztandar,

⁵ Według relacji Marii Tomkiewicz-Dinter ze strony www.busk.pl kajaki wykonali w 1933 roku Stefan Dębicki i Longin Mali.

⁶ Relacja Marii Tomkiewicz-Dinter.

Longin Mali, Z. Masłówna, S. Franciszkiewicz – instruktorzy gimnastyki, Franciszek Frej – członek Stronnictwa Narodowego, komendant Narodowej Organizacji Wojskowej w rejonie Busk w czasie II wojny światowej (zmarł w 1963 roku w Głubczycach).

Zbliżająca się wojna była powszechnie wyczuwalna, choć nikomu nie wydawało się, że do niej dojdzie. Nasilał się także terror ukraiński. Głośnym echem odbiła się w Busku sprawa z 1937 roku, kiedy to Ukraińcy przebrani w mundury policyjne uprowadzili i zamordowali małżeństwo Jasińskich – dziedziców z Bełzca (pow. Złoczów)⁷. W listopadzie 1938 do Buska przybyło kilkanaście rodzin żydowskich wypędzonych z Niemiec.



Towarzystwo Gimnastyczne "Sokół" w Busku 1930r

⁷ W książeczce Jana Serby krótki opis tej sprawy zawiera wiele nieścisłości. Według materiałów, do których dotarłem, sprawa wyglądała następująco: 6 maja 1937 roku do majątku rodzeństwa Marii i Mieczysława Jasińskich w miejscowości Bełzec (pow. Złoczów, gmina Biały Kamień) wtargnęło 5 mężczyzn, w tym jeden w mundurze policyjnym pod pretekstem rewizji. Zarekwirowali oni wtedy kilka tysięcy złotych oraz kazali pp. Jasińskim udać się z nimi na komisariat. Po drodze Jasińscy zostali zastrzeleni strzałami w głowę. Dnia następnego policjanci ujęli morderców, prócz jednego, który zginął w strzelaninie. W ich rzeczach znaleziono gotówkę w dolarach i polskich złotych, które miały być przeznaczone na cele OUN. [w:] „Dziennik Bydgoski” nr 239, 1937, s. 2. Proces odbył się w Złoczowie – według Jana Serby winni zostali skazani, ale z powodu wybuchu wojny kary nie odbyli.

„**Pierwsi Sowieci**” w **Busku** – W 1939 roku Busk nie został zniszczony, mimo iż we Lwowie trwały ciężkie kilkudniowe walki. Jeszcze przed wkroczeniem Sowieców do Buska, miejscowi Żydzi i Ukraińcy, nie zważając na obecność polskiego wojska i policji, powywieszali czerwone flagi i transparenty. Ukraińcy napadli we wsi Uciszków (4 km od Buska) na polskie tabory wojskowe, raniąc ciężko polskiego żołnierza w głowę.

Sowieci do Buska wkroczyli 19 września w godzinach popołudniowych od strony stacji kolejowej Krasne. Rozpoczęły się masowe aresztowania. W pałacu Badenich i jego okolicach zrobiono obóz jeniecki, w sokołni – koszary, a biblioteczkę gniazda spalono jako opał⁸. Aresztowano byłych policjantów o nazwiskach: Czabanowski, Keller, Kędzia. Około tysiąca osób z Buska wywieziono na Syberię.



Wobec masowego konfidentstwa, należało ukryć sztandar sokoli i to w tajemnicy. Pani Święcicka, żona dozorczy sokołni, wpięrow zanosła sztandar do prezesa, który skierował ją do domu skarbnika, państwa Jasińskich⁹. W domu tym żona skarbnika **Helena Jasińska** (ur. 1911) zgodziła się sztandar przechować, pomimo wielkiego ryzyka jej grożącego. Na domiar złego była w bardzo trudnej sytuacji – mąż zaginął na wojnie, miała małe dziecko i chorą teściową. Ponadto pamiętała losy swojego teścia, który zaginął w 1920 roku.

W związku z tym, że dom państwa Jasińskich (który graniczył z sokołnią) był dosyć obszerny i murowany, spodobał się nowemu prokuratorowi sowieckiemu, zażądał więc wysiedlenia mieszkańców. Przenieśli się oni na obrzeża Buska zwane „Lipiboki” do spokrewnionej rodziny Warawów. Tam też w ogrodzie Hele-

⁸ Maria Tomkiewicz-Dinter wspomina, że część książek udało się uratować wyrzucając przez okno.

⁹ Prawdopodobnie zbieżność nazwisk z dziedzicami majątku w Bełczu.

na Jasińska wraz z kuzynem Karolem Warawem zakopała sztandar, wcześniej zabezpieczając go przed zawilgoceniem i zbutwieniem.

Mord więźniów przez NKWD i okupacja niemiecka – Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, zwanej w historiografii niemieckiej operacją „Barbarossa”, a w radzieckiej „Wielką Wojną Ojczyźnianą”, oprawcy z NKWD i ich pomocnicy jak najszybciej opuścili miasto. Dzień przed wkroczeniem Niemców (29 czerwca) na dziedzińcu aresztu słychać było hałas silników dwóch traktorów gąsienicowych („Stalińców”). Następnego dnia okazało się, że traktory zagłuszały egzekucję – NKWD zamordowało około 35 osób, w tym Jana Balickiego – gospodarza gmachu „Sokoła”, a także m.in. Longina Niemeczka i Machnickiego – nauczycieli oraz Ukraińców Mikołaja Wanio (lekarza) i Kowalka. Z mordu uratował się jeden mężczyzna o nazwisku Kapij – ciężko ranny ukrył się pod trupami. Traf chciał, że przeżył także drugi człowiek o tym samym nazwisku – Manolo Kapij, który nie został wywołany z celi. Wśród oprawców wymieniało się Gruzinów, jednego o nazwisku Cwiluk, który mieszkał przy ul. Sokoła w domu Czechryńskich, oraz drugiego, nazwiska nieznanego, który mieszkał w domu urzędnika sądowego Kazimierza Małko przy ul. Białego Marcina. Ten drugi był naczelnikiem NKWD, wzenił się w rodzinę Małko i podobno w 1944 roku wrócił do Buska, zostając naczelnikiem milicji¹⁰.

¹⁰ Egzekucje – masakry więzienne – odbyły się prawie w każdym mieście województwa tarnopolskiego: na przykład w Czortkowie ok. 200 osób rozstrzelano w więzieniu, a 900 pognano do Humania, gdzie zostały rozstrzelane. W Tarnopolu na terenie więzienia rozstrzelano 500–1000 osób, w Złoczowie ok. 700, w Brzeżanach ok. 200. W Zaleszczykach Sowietci wysadzili most z wagonami, w których byli więźniowie z Czortkowa i Kołomyi – zginęło kilkaset osób. Kilkadziesiąt osób straciło życie także w Zbarażu i Kamionce Strumiłowej. Masakry odbywały się na całych Kresach – od Lwowa do Wilna. Łączna liczba ofiar zabójstw więziennych nie jest znana, historycy szacują ją na kilkadziesiąt tysięcy ofiar na całych Kresach wschodnich – zbrodni tej Sowietci dokonali w zaledwie kilka-kilkanaście dni.

Wobec braku zainteresowania domem Jasińskich, Helena wróciła do niego wraz ze sztandarem, który odkopała. Uległ on przez dwa lata częściowemu zawilgoceniu.

Najciężej okupację niemiecką przetrwała żydowska ludność Buska. Wyznaczono jej miejsce do osiedlania – swoiste getto – na wschód od rynku. Miało ono swój własny zarząd „Judenrat” oraz policję. Policją tą dowodził 40-letni Żyd o nazwisku Karawan; miała ona złą opinię z powodu bezwzględного traktowania swych współbraci. Prawie cała społeczność żydowska Buska została wymordowana – część rozstrzelana na miejscu, część wywieziona do obozów zagłady, gdzie została zagazowana i spalona. Kilkunastuosobową rodzinę żydowską uratowała wdowa po burmistrzu Buska p. Fedorska. Niestety, na skutek denuncjacji została ona aresztowana, lecz przeżyła do końca wojny. Szczęśliwie część ratowanych przez nią Żydów też uciekła.

W okolicach Buska zdarzały się także napady band UPA – pod koniec lutego 1944, w znajdującej się 10 km od Buska ukraińskiej wsi Grabowa, zamordowano nielicznych polskich mieszkańców – pracowników nadleśnictwa. Spalono także wsie Adamy, Mażarnie, Stronibaby. Napadnięto także na przedmieście Buska zwane „Niemiecki Bok”. Najwięcej ofiar przyniosła rzeź wsi Zagaje – zginęło tam 574 mieszkańców, ocalało tylko 5 osób.



Jan Serba

Powojenne losy sztandaru – Jeszcze w czasie wojny Helena Jasińska wraz z rodziną (w międzyczasie mąż wrócił z wojny) wyprowadziła się z Buska pod Tarnów, do gminy Dąbrowa Tarnowska. Po zakończeniu wojny rodzina przeniósł się do miejscowości Hajduki Nyskie, a następnie do Frąckowa (obie miejscowości w powiecie nyskim). Wraz z nimi przyjechał sztandar, jednak o jego ujawnieniu z powodu sytuacji politycznej wciąż nie mogło być mowy.

Zimą 1983/84 do gospodarstwa Państwa Jasińskich w Frąckowie przybył Jan Serba wraz z Henrykiem Fahrenholzem,

przygotowujący album o Busku. Zwrócili się do p. Jasińskiej w sprawie identyfikacji zdjęć. Znając Jana Serbę od dziecka, Helena Jasińska opowiedziała mu historię sztandaru i pokazała go. Podniszczony, bez drzewca, ale cudownie zachowany. Rozpoczęła się dyskusja, gdzie go przekazać, by ocalał?

Biskup pomocniczy opolski Antoni Adamiuk (1913–2000), który był wikarym w Busku, dowiedział się o sprawie i zaproponował Muzeum Pamiątek Dawnej Archidiecezji Lwowskiej w Lubaczowie. Po zaakceptowaniu przez p. Jasińską takiego rozwiązania, na zjeździe mieszkańców Buska 15 stycznia 1984 roku we Wrocławiu został on przekazany do muzeum w Lubaczowie, gdzie przeszedł zabiegi konserwatorskie. Prócz tego trafiła tam „Księga pamiątkowa Sokoła” oraz album zdjęć przedwojennego Buska.

Na wiosnę 1993 roku Helena Jasińska otrzymała od Sekretarza Generalnego Związku „Sokół” list z podziękowaniem, a w kwietniu 1993 uhonorowano ją dyplomem „Za wierność idei sokolej”. Ostatnie lata życia, jako wdowa z głodową emeryturą, spędziła u synów – w pierw w Kępnicy, później w Nysie. Helena Jasińska zmarła 13 lutego 2003 w wieku 92 lat. Pochowana została na cmentarzu komunalnym w Nysie¹¹.

Altea Milada Leszczyńska
Blachownia

Z Czortkowa w katyńskie doły śmierci

W kwietniu br. obchodzimy 82 rocznicę zbrodni katyńskiej. W tę rocznicę chciałabym przybliżyć państwu sylwetki dwóch członków mojej rodziny, którzy tam zostali zamordowani.

Romuald Oleg Drozdowski herbu Jastrzębiec, bohater wojenny, zamordowany w Katyniu (ur. 31 maja 1896, Czortków – zm. wiosną 1940, Katyń) – kapitan geograf Wojska Polskiego, kawaler Krzyża Niepodległości. Syn Włodzimierza Drozdowskiego herbu

¹¹ Dane z internetowej wyszukiwarki grobów w Nysie.



Jastrzębiec i Marianny Ilnickiej de Czerzowicz herbu Sas, żonaty z porucznik Wandą „Niusią” z Grzegorzewskich (1906-1986), miał córkę Krystynę (po mężu Dymkowską) i syna Andrzeja „Czarka”. W czasie I wojny światowej walczył w szeregach 2 pułku piechoty. Od 1918 w Wojsku Polskim, uczestnik wojny 1920 w 3 pułku piechoty Legionów.

W okresie międzywojennym pozostał w wojsku. W 1923 r. w stopniu porucznika (starszeństwo z dniem 1 kwietnia 1921 i 1. lokatą w korpusie oficerów administracji) służył tymczasowo w Dowództwie Okręgu Korpusu nr III w Wydziale Superrewizyjno-Inwalidzkim i był oddelegowany do III Batalionu Sanitarnego na stanowisku oficera sanitarno-administracyjnego.



Następnie pełnił różne funkcje dowódczo-sztabowe w DOK III. W 1928 służył w Wojskowym Instytucie Geograficznym. Kapitanem mianowany w 1935. W czasie kampanii wrześniowej służył w WIG jako kierownik grupy kreślarskiej. Razem z Instytutem ewakuowany na wschód. Wzięty do niewoli przez Sowieców 17.09.1939 w miejscowości Hoszcza w powiecie równieńskim, osadzony w obozie w Putywlu. W listopadzie 1939 przeniesiony do obozu koziełskiego. Między 3 a 5 kwietnia 1940 przekazany do dyspozycji naczelnika

smoleńskiego obwodu NKWD – lista wywózkowa bez numeru. Został zamordowany między 4 a 7 kwietnia 1940 przez NKWD w lesie katyńskim. Zidentyfikowany podczas ekshumacji prowadzonej przez Niemców w 1943, zapis w dzienniku ekshumacji pod datą 18.05.1943. Figuruje na liście AM-229-2325 i liście Komisji Tech-

nicznej PCK pod numerem 02325. Ostatnie wiadomości od Romualda Drozdowskiego z Katynia rodzina otrzymała pocztą w marcu 1940.

Minister Obrony Narodowej Aleksander Szczygło decyzją nr 439/MON z 5 października 2007 awansował go pośmiertnie na stopień majora. Awans został ogłoszony 9 listopada 2007 w Warszawie, w trakcie uroczystości „Katyń Pamiętamy – Uczcijmy Pamięć Bohaterów”. Krzyż Srebrny Orderu Virtuti Militari (nr 14384) – zbiorowe, pośmiertne odznaczenie żołnierzy polskich zamordowanych w Katyniu i innych nieznanych miejscach kaźni, nadane przez Prezydenta RP na Uchodźstwie profesora Stanisława Ostrowskiego (11 listopada 1976). Krzyż Kampanii Wrześniowej – zbiorowe, pośmiertne odznaczenie pamiątkowe wszystkich ofiar zbrodni katyńskiej (1 stycznia 1986). Porucznik Wanda Grzegorzewska-Drozdowska po śmierci męża wyszła ponownie za mąż za pisarza Wacława Rogowicza.

To niejedyny członek mojej rodziny zamordowany przez Sowietów, drugim był kuzyn mojej babci (ze strony ojca tym razem) – Tadeusz Leopold Bajgierowicz. Tadeusz urodził się w Czortkowie 22 września 1910 jako syn Anieli Zajączkowskiej-Bajgierowicz (starszej siostry mojego pradziadka Alfreda Zajączkowskiego) i kapitana Józefa Bajgierowicza, miał siostrę Marię Janinę (po mężu Potyrałę). Tadeusz był z zawodu prawnikiem. Został zamordowany w 1940 przez NKWD na Ukrainie na podstawie decyzji Biura Politycznego Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików) i naczelnych władz państwowych ZSRR z tzw. ukraińskiej Listy Katyńskiej (zwanej również Listą Cwietuchina). Do odkrycia ofiar tej części zbrodni katyńskiej (tzw. „ukraiński ślad Katynia” – od pierwszej pracy na ten temat w opracowaniu Zuzanny Gajowniczek z 1995) przyczynił się prokurator Andriej Amons. Lista zawierająca dane personalne 3435 polskich obywateli została przekazana 5 maja 1994 zastępcy Prokuratora Generalnego RP, Stefanowi Śnieżko, przez zastępcę szefa Służby Bezpieczeństwa Ukrainy, gen. Andrija Chomicza. Jest to spis 3435 więziennych akt osobowych wysłanych 25 listopada 1940 roku

przez naczelnika 1. Wydziału Specjalnego NKWD Ukrainńskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej (USRR), st. lejtnanta bezpieczeństwa państwowego Cwietuchina, do naczelnika 1. Wydziału Specjalnego NKWD Związku Sowieckiego, majora bezpieczeństwa państwowego Leonida Basztakowa. Do listy dołączono 3435 akt w 5 workach. Samo określenie „Ukraińska Lista Katyńska” z polskiego punktu widzenia odnosi się do miejsc przetrzymywania więźniów i ich zamordowania.



*Jerzy Miller
Poznań*

Zapomniani pisarze z Podola Cz. III – Teodor Tomasz Jeż (1824-1915)

Zygmunt Miłkowski (tak brzmiało jego prawdziwe imię i nazwisko) ps. Teodor Tomasz Jeż, Władysław Bodnar, powieściopisarz, publicysta, działacz społeczno-polityczny urodził się 23 marca 1824 r. w Saracei na pograniczu historycznego Podola i Besarabii¹².

¹² Obecnie licząca niecałe 400 mieszkańców Saraceja leży na terenie nieuznawanej Republiki Naddniestrzańskiej – części Mołdawii – przyp. red.



Ten syn napoleońskiego oficera edukację rozpoczął w Niemirowie, Odessie na Kijowie kończąc. Po studiach w Kijowie w czasie Wiosny Ludów uczestniczył w powstaniu na Węgrzech, gdzie za udział w oblężeniu Aradu otrzymał stopień porucznika. Później wyjeżdża do Anglii, gdzie pracując jako zwykły robotnik, wstępuje do Towarzystwa Demokratycznego Polskiego¹³ jako emisariusz Komitetu Centralnego. W czasie wojny krymskiej (1853-56) działa w Mołdawii i na Półwyspie Bałkańskim jako obserwator po stronie armii sprzymierzonych (tj. turecko-angielsko-francuskiej).

W czasie powstania styczniowego (1863) mianowany pułkownikiem, organizuje oddziały polskie w Mołdawii. Po krótkim uwięzieniu we Lwowie przebywa na emigracji (Belgrad, Bruksela, Paryż), ażeby na stałe osiąść w Szwajcarii, gdzie umiera 11.01.1915 w Lozannie.

Ten jeden z najpłodniejszych twórczo pisarzy polskich był także założycielem i pierwszym prezesem konspiracyjnej Ligi Polskiej (1887). Pomimo stałego pobytu za granicą, utrzymywał kontakty z krajem, prowadził ożywioną korespondencję, działalność wydawniczą. Pisarstwo T.T. Jeża zbiegło się w czasie z twórczością Józefa Ignacego Kraszewskiego. Obydwaj twórcy znali się osobiście, a nasz bohater wygłosił nawet na Kraszewskiego pogrzebie mowę pożegnalną. Obydwaj w swoich powieściach historycznych „krzepili serca”, przybliżając dzieje naszego narodu i przyczyniali się do wzrostu świadomości historycznej, otwierając tym samym w przyszłości drogę do odzyskania niepodległości.

¹³ Jedno z najważniejszych stronnictw politycznych Wielkiej Emigracji, zostało utworzone w Paryżu 17 marca 1832. Było to najliczniejsze ugrupowanie demokratyczne emigracji polskiej, zbliżone organizacyjnie do partii politycznej – przyp. red.



Tablica - Belgrad (Serbia)

pozytywnego do niej stosunku. Doceniał zarówno jej walory estetyczne, jak i etyczne. Ukazywał konflikty między szlachtą a chłopstwem, w których obciążał winą raczej szlachtę. Wskazywał jednak na możliwość ułożenia dobrych stosunków między ziemiaństwem a poddanymi. Jego zdaniem równowaga społeczna powinna być oparta na korzystnym dla dworu i wsi podziale pracy oraz wzajemnych korzyściach i szacunku. Mimo wspólnych wątków światopoglądowych powieści Miłkowskiego nie były monotematyczne i opisywały różne epoki.

Osobiście uważam, że niestety pomimo popularności w czasach zaborów i w dwudziestoleciu międzywojennym, twórczość T.T. Jeża nie przetrwała próby czasu. Być może było to spowodowane staromodną stylistyką, charakterystyczną fabułą, czy ogólnie XIX-wieczną konwencją pisarską. Ostatnie wznowienia jego poszczególnych powieści były w latach 50-60 XX w. Dodam jeszcze, że T.T. Jeż jest patronem ulicy w Krakowie (pod nazwiskiem prawdziwym – Miłkowski) i w serbskim Belgradzie (tam też jest jego tablica pamiątkowa). Zaskarbił on sobie stałe wdzięczne miejsce w

T.T. Jeż należy do najpłodniejszych polskich pisarzy, poza utworami publicystycznymi pozostawił 80 powieści (ich liczbą ustępował tylko Kraszewskiemu). Jako powieściopisarz debiutował utworem „Wasył Hołub”, opublikowanym w 1858 w „Dzienniku Literackim”. W powieściach Miłkowskiego objawiło się jego zainteresowanie obyczajem i kulturą chłopską, zwłaszcza z terenu Ukrainy, którą dokumentował etnograficznie, ale też nie ukrywał swojego

pamięci historyków i badaczy literatury, natomiast niestety nie u czytelników.

Redakcja

Warto przeczytać

Chcemy polecić Państwu kilka pozycji, których popularyzację zaproponowali nam nasi czytelnicy, a my także uważamy, że są one godne polecenia.

Osoby zainteresowane losami zbiorów lwowskiego Ossolineum i ich (częściowej) „przeprowadzki” do Wrocławia zachęcamy do zapoznania się z ciekawą publikacją książkową z cyklu Biografii Uczonych Wrocławskich: **Marian Jakóbiec „Z daleka i z bliska”**.

Prof. dr hab. Marian Jakóbiec urodził się w 1910 roku w Hynowcach k. Brzeżan. Tytuł doktora uzyskał na Uniwersytecie Lwowskim ze sławistyki, po wojnie wykładowca Uniwersytetu Wrocławskiego, gdzie specjalizował się w literaturze narodów słowiańskich. Książka ta zawiera ciekawe materiały obejmujące ciekawe życie prof. Jakóbca i jego drogę zawodową. Załączone są też dosyć liczne, historyczne już zdjęcia. Dodajmy, że w czasie wojny - ta osoba była odpowiedzialna z ramienia Uniwersytetu Lwowskiego za zabezpieczenie i ratowanie bogatych zbiorów Ossolińskich. Autorem pozycji jest córka profesora – prof. Milica Jakóbiec-Semków - także rodem z Brzeżan (ur. 1942 r.) .Pozycja ukazała się w 2009 roku, a dystrybucję prowadzi Dział Handlowy wydawnictwa UWr, zamówienia można składać telefonicznie pod nr 71-375-28-85.

Osoby Stanisława Srokowskiego Kresowianom nie trzeba przedstawiać. Ten uznany publicysta, który od kilkadziesiąt lat prężnie działa na rzecz upamiętnienia ludobójstwa dokonanego przez Ukraińców na narodzie polskim, wydał w ostatnich trzech latach trzy tomiki poezji kresowej: **„Duchy polskich Kresów”**, **„Ciszo, milcz! Bólu, mów”** oraz **„Widma nocy”**, a także tom publicystyki dotyczącej spraw bieżących pt. **„Skąd się wzięli pożyteczni idioci”** , w którym znajdują się także liczne wątki kresowe oraz książkę biograficzną **„Życie wśród pisarzy, agentów i in-**

tryg". Książki można zdobyć w księgarniach internetowych. Informujemy także, że autor chętnie bierze udział w organizowanych z nim spotkaniach – do których planowania zachęcamy środowiska kresowe.

Redakcja naszego kwartalnika zachęca także do zapoznania się z wydanym ostatnio już piątym tomem cyklu „**Dzieje Polski**” prof. Andrzeja Nowaka. Podtytuł tomu to „Imperium Rzeczypospolitej 1572-1632”. Był to przecież czas próby budowania imperialnej Rzeczypospolitej na bazie błyskotliwych zwycięstw militarnych i skuteczności dyplomacji. Był to także czas największego rozkwitu kulturalnego naszej Ojczyzny. W opinii wielu historyków praca prof. Nowaka jest jedną z najlepszych z dotychczasowych syntez naszej historii. Koszt tomu waha się pomiędzy 40-60 zł, wydawcą jest wydawnictwo „Biały Kruk” – tel. 12-260-32-90. Pozycja dostępna też jest w wielu z placówek pocztowych.

„**Ostatnie lata polskich Kresów**” to tytuł nowej książki (wyd. 2020) Sławomira Kopera i Tomasza Stańczyka. Książka jest zbiorem 24 opowieści m.in. o Druskiennikach, Truskawcu czy Zaleszczykach. Pomimo tej wielowątkowej i wielonarodowościowej narracji można znaleźć w niej jeden klucz. I choć niektórzy nie zgodzą się z kontrowersyjnymi sądami autorów, to jednak warto sięgnąć po tę pozycję.

Igor Megger
Poznań

Cichy bohater ks. Bronisław Baranowski

Na podstawie doniesień prasowych „Kuriera Galicyjskiego”.

8 listopada 2021 w Konsulacie Generalnym RP we Lwowie odbyła się miła uroczystość - wręczenie Krzyża Oficerskiego Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej ks. Bronisławowi Baranowskiemu. Kilka pokoleń Polaków mieszkających na Ukrainie zna go jako spowiednika w konfesjonalach nie tylko w tym mieście, ale też

na Podolu, skąd pochodzi i gdzie w trudnym okresie prześladowań za wiarę przez reżim komunistyczny przez prawie 15 lat pełnił posługę spowiednika.



Ks. Baranowski urodził się 19 maja 1938 r. w Komargrodzie koło Tomaszpola, obwód winnicki. Studiował w szkole weterynarii w Tulczynie, a następnie pracował jako laborant we Lwowie. Od 1957 r. był uczniem, a później najbliższym współpracownikiem ks. Henryka Mosinga. W 1973 r. ks. Henryk Mosing potajemnie utworzył na Ukrainie Wspólnotę Świętego Wawrzyńca Diakona i Męczennika, instytut dla kształcenia diakonów. Przygotował kilkunastu diakonów oraz wielu księży, do dnia dzisiejszego posługujących na Ukrainie. W sytuacji braku seminariów na terenie Ukrainy była to jedna z nielicznych możliwości formacji duchowej przyszłych kapłanów. Jednym z nich był Bronisław Baranowski, który święcenia kapłańskie otrzymał 7 lipca 1979 r. w Lubaczowie. W latach 1979-1994 był spowiednikiem na Podolu, gdzie działalność duszpasterska była bardzo niebezpieczna. Od 1998 do 2002 r. był spowiednikiem w Wyższym Seminarium Duchownym we Lwowie. W latach 2002-2005 pełnił funkcję wikariusza w parafii pw. św. Marii Magdaleny

we Lwowie. Ksiądz Baranowski włączył się do akcji w sprawie zwrotu kościoła św. Marii Magdaleny we Lwowie do wspólnoty parafialnej. Od 2010 r. Kanonik Honorowy Kapituły Metropolitalnej we Lwowie, a od 2015 r. pełni funkcję spowiednika w Katedrze Lwowskiej.

W laudacji Eliza Dzwonkiewicz – polski Konsul Generalny we Lwowie podkreśliła wyjątkowość sylwetki odznaczonego: „Jako osoba duchowna jest szanowany i ceniony za zasługi dla społeczności, kultury i dziedzictwa polskiego we Lwowskim Okręgu Konsularnym. Jako duszpasterz troszczy się o podtrzymywanie polskości, a tym samym zachowanie tożsamości swoich parafian (...) Szczególnie ważne dla nas, że to jest taki cichy bohater, bardzo skromny człowiek, który wiele lat świadczył posługę jako spowiednik, ale tak naprawdę jest dla nas świadkiem obecności na tej ziemi ks. doktora Mosinga, który tutaj wychował wielu kapłanów i który dzisiaj może swoją pamięcią i taką wdzięcznością świadczyć o tej niezwyklej osobie. Ks. Bronisław do końca, do ostatnich dni życia opiekował się ks. Mosingiem. Jak powiedział, przez ostatnie pięć lat tylko jeden dzień i kilka minut nie było go przy nim. (...). Dla nas z taką ogromną życzliwością tutaj podszedł i chociaż to my chcieliśmy go dzisiaj uhonorować, to on się bardzo troszczył o to, co on może dać nam. I zaprasza też do siebie. Wyjątkowa postać”.

Maria Sikorzyńska
Warszawa

„Opłatek” w Stołecznym Oddziale TMLiKPW

Spotkanie opłatkowe odbyło się 15 stycznia 2022 w „Domu Wspólnoty Polskiej”, w którym uczestniczyli członkowie i sympatycy Stołecznego Oddziału TMLiKPW (w tym i Klubu „Podole”) w liczbie ok. 40 osób. Aby zachować wymogi sanitarne z powodu panującej pandemii uczestnicy spotkania siedzieli po kilka osób przy połączonych stolikach.



Józef Kaszczyszyn

Spotkanie otworzył prezes Stołecznego Oddziału TMLiKPW Marek Makuch, witając wszystkich zebranych oraz składając serdeczne życzenia świąteczne, jak również życzenia zdrowia i wszelkiej pomysłowości w nowym 2022 roku.

Następnie głos zabrał kapelan z Bazyliki św. Krzyża ksiądz Ludwik Wierchołowski, który po złożeniu wszystkim życzeń świątecznych poświęcił wniesione potrawy wigilijne i podzielił się opłatkiem z wszystkimi zebranymi, co

zapoczątkowało wspólne dzielenie się opłatkiem i wzajemne składanie życzeń.

Po wieczerzy wigilijnej zebrani śpiewali polskie kolędy, a śpiew kolęd zapoczątkowała kolęda „Wśród nocnej ciszy” zainicjowana przez ks. Wierchołowskiego. Następnie kolędy śpiewał uzdolniony muzycznie wiceprezes naszego podolskiego „klubiku” Józef Kaszczyszyn przy akompaniamencie córki i przy wtórce wszystkich zebranych. Ponadto w części artystycznej wystąpiła poetka ze Lwowa Luba Lewak, deklamując swoje wiersze wigilijne oraz jej córka z amatorskim zespołem muzycznym „Pełnia”, który śpiewał różne kolędy oraz utwory własnej kompozycji.

Maria Sikorzyńska
Warszawa

Komunikat warszawskiego Klubu „Podole”

25 lutego br. odbyło się zebranie wyborcze Klubu „Podole” przy Stołecznym Oddziale TMLiKPW. Z powodu śmierci dotychczasowej prezes Ireny Kotowicz w listopadzie 2020 r., funkcję p.o.

prezesa pełnił dotychczasowy wiceprezes Józef Kaszczyszyn. J. Kaszczyszyn na zebraniu poinformował o swojej rezygnacji oraz wnioskował o wybranie nowych władz klubu.

W związku z rezygnacją J. Kaszczyszyna oraz stale malejącą liczbą członków (13 członków, z czego 5 na zebraniu) zgromadzeni po dyskusji, w której brała udział także wiceprezes Stołecznego Oddziału TMLiKPW Stanisława Stańczyk-Wojciechowicz, postanowili nie wybierać nowych władz, a przegłosować wniosek o rozwiązanie Klubu „Podole” – który to wniosek został przyjęty przez zebranych.

Od tego czasu członkowie klubu stanowiąc będą grupę Podolan zrzeszonych w Stołecznym Oddziale TMLiKPW, ze swoim własnym, dotychczasowym kontem bankowym. Grupa ta w dalszym ciągu także będzie brała udział w życiu kwartalnika „Głosy Podolan”, gdzie klub miał zagwarantowane miejsce na swoje publikacje, a dotychczasowa sekretarz klubu Maria Sikorzyńska jest członkiem jego redakcji.

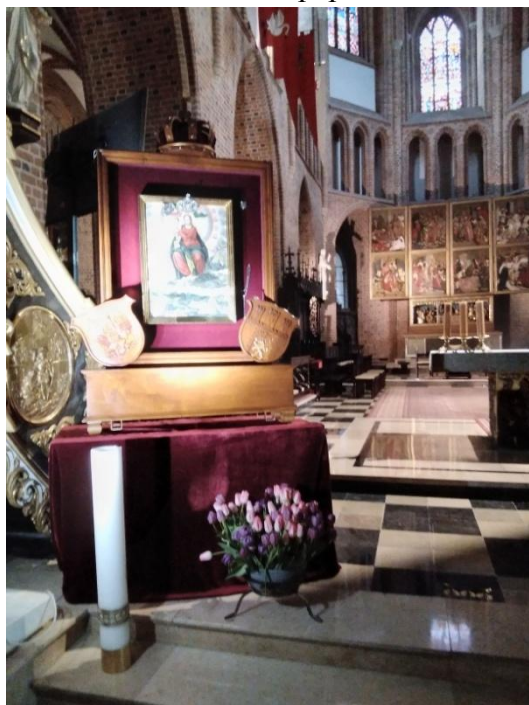
Katarzyna Kwinecka
Poznań

Historia poznańskiej kopii „Ślicznej Gwiazdy miasta Lwowa”

Obraz Matka Boża Łaskawa – „Śliczna Gwiazda miasta Lwowa”, zwany Domagaliczowską, namalowany został w 1598 r. przez mieszczanina lwowskiego Józefa Szolc-Wolfowicza jako epitafium dla zmarłej wnuczki Katarzyny Domagaliczówny. Modlitwy przed obrazem zaowocowały licznymi uzdrowieniami. Cudownej interwencji Matki Bożej przypisano nieudane oblężenie miasta przez wojska Chmielnickiego w 1648 r., zwycięstwo pod Beresteczkiem czy odparcie ataku Kozaków w 1655 r.

W czasie potopu szwedzkiego, 1 kwietnia 1656 r., król Jan II Kazimierz Waza w katedrze Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny we Lwowie, przed obrazem Matki Bożej Łaskawej, złożył

śluby. W obecności nuncjusza papieskiego Pietro Vidoniego i całego swojego dworu, z rycerstwem, senatorami oraz duchowieństwem, oddał w opiekę Maryi swoje państwo i ogłosił Matkę Bożą Królową Korony Polskiej. W 1776 r. abp Wacław Hieronim Sierakowski ogłosił dekret o cudowności i łaskowości wizerunku, przeniósł obraz na stałe do katedry lwowskiej, a 12 maja 1776 r. ukoronował obraz koronami papieskimi.



W 1946 r. ks. abp Eugeniusz Baziak, zmuszony do opuszczenia metropolii lwowskiej przez władze sowieckie, przywiózł obraz do Polski. Wizerunek kilkakrotnie wystawiany był w katedrze wawelskiej, później został przewieziony do Lubaczowa. Podczas konserwacji w latach 1980–1981 wykonano dwie wierne kopie, przeznaczone do archikatedry lwowskiej i do kościoła w Lubaczowie. Obraz był rekoronowany 19 czerwca 1983 r. na Jasnej Górze i 26 czerwca

2001 r. we Lwowie przez papieża Jana Pawła II. Oryginał znajduje się w wawelskim skarbcu.

Poznańska wierna kopia obrazu powstała z okazji 1050 rocznicy chrztu Polski i ufundowana została przez członków ruchu społecznego „Pokolenie Millenijne”. Całe przedsięwzięcie logistycznie wsparł Poznański Oddział TMLiKPW.

9 kwietnia 2016 r., podczas uroczystej Mszy św. z okazji 360 rocznicy ślubów Jana Kazimierza, Arcybiskup Mieczysław

Mokrzycki, Metropolita Lwowski, poświęcił obraz w archikatedrze lwowskiej. 2 października 2016 r. Arcybiskup Stanisław Gądecki, Metropolita Poznański, dokonał uroczystego wprowadzenia wiernej kopii obrazu Matki Bożej Łaskawej, Królowej Korony Polskiej do Poznania. Obraz ma służyć pogłębianiu narodowej pamięci i być świadectwem mieszkańców grodu Piastów ich twórczego podjęcia chrześcijańskiego dziedzictwa.

* * *

TMLiKPW Oddział w Poznaniu pragnie ze wszystkimi Kresowianami podzielić się inicjatywą również duchowego wsparcia dla uchodźców z Ukrainy (akcja pt. „Pomoc dla Lwowa”, wspierająca naszych stałych podopiecznych na razie przebiega bez zakłóceń). Otóż poznańska wierna kopia obrazu Matki Bożej Łaskawej ze Lwowa została wystawiona w ołtarzu głównym Katedry Poznańskiej. W tych trudnych chwilach, jakie przeżywamy obecnie, niech służy duchową pomocą wszystkim uchodźcom, którzy zechcą modlić się w poznańskiej katedrze, a w ramionach Maryi szukają pocieszenia.

Redakcja „Głosów Podolan” zachęca czytelników do nadsyłania materiałów do publikacji na naszych łamach.

Szczególnie zachęcamy do nadsyłania materiałów nigdy niepublikowanych oraz:

- wspomnień osobistych
- refleksji i komentarzy
- wspomnień pośmiertnych
- recenzji książek

- prezentacji swoich oddziałów/klubów/stowarzyszeń

Materiały najlepiej przysyłać drogą elektroniczną lub tradycyjną – na adres podany w stopce redakcyjnej.



*Jan Kruczkowski
Wałbrzych*

Siostra Teresa – Maria Kruczkowska we wspomnieniach Jej brata Jana¹⁴



2 lipca 2015 roku, na cmentarzu św. Wawrzyńca przy ul. Bujwida we Wrocławiu, odbyło się pożegnanie siostry Teresy – Marii Kruczkowskiej, która będąc w Zgromadzeniu św. Józefa, pracowała na chwałę Pana Boga, na rzecz ludzi cierpiących i ubogich.

W wieku 93 lat odeszła od nas do Niebios na wieczny odpoczynek.

Bardzo przeżyłem śmierć mojej siostry Marysi, z którą związany byłem nie tylko więzami krwi i korzeniami rodzinnymi, ale także wspólnymi wspomnieniami.

Siostra Teresa wywodziła się z Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej, gdzie mocno kultywowany był szacunek do pracy oraz do rodziny. Swoje dziewczęce lata spędziła wśród liczego rodzeństwa: czterech siostr i trzech braci. Niestety Jej młodość przypadła na tragiczny okres wojny oraz dwóch okupacji: sowieckiej i niemieckiej. Jako kilkunastoletnia dziewczyna, zamiast uczyć

¹⁴ Inne wspomnienie o siostrze Teresie – autorstwa I. Kotowicz, zamieściliśmy 153 numerze „Głosów” w 2021 r. – przyp. red.

się i bawić, godzinami wystawała w tłumnie ludzi czekających przed sklepem, aby zdobyć trochę żywności. Pomagała w ten sposób najbliższym przetrwać czasy głodu i zniewolenia.

Jak pamiętam, mimo trudności materialnych i niebezpieczeństw związanych z wojną, Marysia zawsze była radosna, pełna życiowej energii oraz wiary w przyszłość. Taką była również przez całe swoje długie życie.

Siostra Teresa, podczas kilkudziesięcioletniej służby zakonnej w charakterze pielęgniarki, przełożonej wspólnoty czy budowniczej Domu Prowincjonalnego, nigdy nie zapomniała o swych najbliższych: rodzicach, rodzeństwie i ich potomstwie.

Od 1947 roku, kiedy założyła pierwszą Profesję w Kluczborku, a ja wszedłem w wiek dojrzały, pomiędzy mną a Marysią nawiązał się stały kontakt osobisty i uczuciowy. Trwał on do ostatnich dni Jej życia.

Dobrze pamiętam jak po przesiedleniu z rodzinnego domu do Kluczborka, dotarła do Rodziców wiadomość, że w miejscowym klasztorze przebywa nasza Marysia. Radość była ogromna. Rozproszona wskutek zawieruchy wojennej rodzina powoli odnajdywała się. Niestety nie wszyscy. Jeden z braci zginął na wojnie, a drugi pozostał na obczyźnie. Pozostałe rodzeństwo znalazło swoje miejsce do życia w Olsztynie, Częstochowie, Kluczborku i w Wałbrzychu.

Mimo dużych odległości, więzi rodzinne nie zostały jednak zerwane. Niewątpliwie wielką zasługę w ich utrzymaniu miała właśnie moja siostra Marysia. To Ona w trudnych chwilach niosła pomoc nie tylko duchową, ale czasami również i materialną. Tak było kiedy zachorowała nasza Mama. Marysia, mimo obowiązków zawodowych w szpitalu, natychmiast przyjechała do Kluczborka, by zaopiekować się chorą. Skontaktowała się ze szpitalem w Szczepieszynie, skąd lekarz udzielając telefonicznie zaleceń i porad, przy aktywnej pomocy siostry Teresy, uratował Mamę przed niechybną śmiercią.

Marysia przez całe swoje życie była osobą pełną energii i pracowitości, ale przede wszystkim głęboko wierzyła w Boską Opatrzność.

Od chwili przywdziania szat zakonnych do końca życia była wierna Bogu, Matce Najświętszej, a obowiązki zawodowe, jakie zostały Jej powierzone, wykonywała niezwykle sumiennie. Trzydzieści lat przepracowała jako pielęgniarka w Lubaczowie, Jerzewie, Szczebrzeszynie, Gliwicach, Krośnie (dom dziecka) i Rudzie Różańskiej (DPS). Czternaście lat przebywała w Domu Prowincjonalnym we Wrocławiu, gdzie podjęła prace parafialne. Dwukrotnie pełniła funkcję przełożonej oraz była odpowiedzialna za budowę nowego Domu Wspólnoty. Obok tych odpowiedzialnych funkcji, jakie zostały Jej powierzone, nigdy nie zapomniała o swoich korzeniach rodowych oraz o najbliższej rodzinie.

Na sercu leżały Jej losy rodzeństwa oraz ich potomstwa. Interesowała się ich życiem duchowym, ale także codziennymi losami.

W 1975 roku napisała do mnie, że poszukuje grobu brata, tego, który zginął podczas II wojny światowej i że nie może go odnaleźć. Jak twierdzi *„jego śmierć nie może pójść w zapomnienie. Przecież zginął walcząc o Polskę. Janku, weź sobie do serca tę sprawę, nie zaniedbuj jej”*. Moje poszukiwania nie przyniosły jednak żadnych efektów.

W trudnym okresie stanu wojennego, w miarę możliwości, wspomagała swoich najbliższych produktami, które klasztor otrzymywał od swych darczyńców. Kiedyś obdarowany workiem ziemniaków, w drodze do Wałbrzycha, zatrzymany zostałem przez żołnierzy. Bałem się, że mi je skonfiskują. Na szczęście tego nie uczynili. Dla mnie i mojej rodziny byłaby to wielka strata.

Każda pomoc ze strony klasztoru była niezwykle cenna, gdyż w owym czasie sklepy świeciły pustkami a żywność była regramentowana.

Kiedy mój syn studiując we Wrocławiu znalazł się w ciężkiej sytuacji materialnej, natychmiast otrzymał z klasztoru pomoc. Kiedy z akademików usunięto studentów, znalazł się bez dachu nad

głową. Ciocia (siostra Teresa) znalazła mu mieszkanie, a uczynne siostry przy każdej okazji dokarmiwały głodnego studenta treściwymi obiadami. Aby mu pomóc materialnie, poprosiła właściciela firmy budującej klasztor, aby go zatrudnił na budowie. Pracował tam kilka miesięcy m.in. przy budowie nowego Domu Prowincjonalnego.

Gdy w 1989 roku do władzy doszła „Solidarność”, siostra Teresa – Maria, będąc już na emeryturze, miała trochę więcej czasu na spotkania rodzinne. Rokrocznie przyjeżdżała do Olsztyna, gdzie wśród osób Jej najbliższych cieszyła się zasłużonym odpoczynkiem. W domach sióstr czuła się wyśmienicie, szczególnie kiedy dopuszczono Ją do kuchni. Przywdziewała wówczas fartuch i przygotowywała wspaniałe dania. Podziękowań ze strony wdzięcznej rodziny nie było końca. Starsi wspominali odległe lata a młodszy podziwiali smak kuchni ich przodków.

Jak pamiętam, Marysia nigdy nie skarżyła się, że coś Jej dolega, że cierpi na jakąś chorobę. Dzielnie znosiła dolegliwości związane z wiekiem. Nie wiem czy była kiedyś w sanatorium czy domu czasowym. Dla niej obecność wśród rodzeństwa i widok ich dzieci i wnuków dawały olbrzymią radość. Jedyną rozrywką, na jaką sobie pozwalała było, będąc w Olsztynie, zbieranie grzybów w pobliskim lesie.

Nie mając już obowiązków zawodowych, zaczęła pomagać odbudowującemu się kościołowi na Kresach. Dwukrotnie udawała się w daleką podróż do rodzinnego Czortkowa.

Miałem przyjemność w 1990 roku samochodem pojechać z Nią i siostrą Elżbietą na Ukrainę. Jak pamiętam wtedy siostry ubrane w habity wzbudzały powszechną ciekawość. Ukraińcy po pięćdziesięciu latach znów zobaczyli zakonnice! Tak było w Czortkowie i we Lwowie podczas odwiedzin byłego klasztoru Sióstr Józefitek przy ul. Kurkowej, gdzie Marysia przywdziewała habit. Po kilkunastu dniach pobytu na Ukrainie i przekazaniu darów w postaci różnych akcesoriów kościelnych, udaliśmy się w drogę powrotną, żegnani na granicy przez celników słowami „Szczęść Boże”.

Pogrzeb siostry Teresy – Marii Kruczkowskiej odbył się w tak podniosłej oraz pięknej atmosferze i scenerii, że żal spowodo-

wany Jej odejściem przestał tak bardzo boleć. Zdałem sobie sprawę, że Marysia będąc w Niebiosach jest szczęśliwa i będzie nadal czuwać nad nami.

Po rozmowie z najbliższą rodziną, dla upamiętnienia Jej drogi życiowej postanowiłem przekazać potomnym chociaż kilka fragmentów z Jej długiego, pełnego wydarzeń życia. Mam nadzieję, że pamięć o siostrze Teresie – Marii Kruczkowskiej utrwalona w tym wspomnieniu, przekazana zostanie następnym pokoleniom wywodzącym się z rodu Kruczkowskich, Adamskich, Kutajów, Podbielskich i Ocioszyńskich, a może nawet znajdzie się w annałach Zgromadzenia Sióstr św. Józefa w Tarnowie i w Kluczborku.

Kończąc wspomnienie o siostrze Teresie, pragnę zacytować fragment wystąpienia Siostry Przełożonej wrocławskiego klasztoru:

„W 2000 roku siostra Teresa, jako seniorka wróciła do Wspólnoty Domu Prowincjonalnego, gdzie po ofiarnych latach pracy, już jako seniorka, do końca swego życia służyła Wspólnocie i Zgromadzeniu pracą na miarę swoich sił, a w ostatnim okresie życia modlitwą i cierpieniem”.

Siostro Tereso, Marysiu, spoczywaj w spokoju.

Dla nas, Twoich najbliższych, będziesz we wspomnieniach żyła zawsze jako ktoś bardzo bliski naszemu sercu, jako osoba pełna dobroci, życzliwości i pogody ducha.

*Jan Adam Barański
Kraków*

ŚP Stanisław Maria Jankowski (1945–2022)

Z głębokim żalem żegnamy zmarłego 10 lutego 2022 r. Stanisława Marię Jankowskiego, historyka, dziennikarza, autora wielu książek i publikacji historycznych, specjalistę w zakresie II wojny światowej, wieloletniego redaktora „Biuletynu Katyńskiego” i współzałożyciela Niezależnego Komitetu Historycznego Badania Zbrodni Katyńskiej, a także Niezależnego Komitetu Historycznego



Badania Zbrodni Katyńskiej. W 2011 r. został odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski za zasługi w upowszechnianiu prawdy katyńskiej. Jako dziennikarz współpracował m.in. z „itd”, „Dziennikiem Polskim”, „Gazetą Krakowską” i „Życiem Literackim”. Był autorem wielu słuchowisk radiowych, scenariuszy do filmów dokumentalnych oraz licz-

nych wystaw historyczno-dokumentalnych, w tym również zagranicznych, a także konsultantem historycznym, współpracującym z Andrzejem Wajdą przy realizacji filmu „Katyń”.

Dla czortkowiaków to postać wyjątkowo ważna, gdyż jako autor wystawy poświęconej powstaniu czortkowskiemu Stanisław Jankowski wydobył na światło dzienne ten mało znany fakt historyczny¹⁵.

Dziękuję Ci, Staszku, za Twoje życie poświęcone prawdzie i dwie dekady naszej przyjaźni.

Poniższy tekst jest wspomnieniem o Stanisławie Marii Jankowskim Jego wieloletniej współpracownicy, dziennikarki Radia Kraków, Jolanty Drużyńskiej, wygłoszonym podczas ceremonii pogrzebowej.

O niezmiernie bogatej i różnorodnej działalności pisarskiej Staszka Jankowskiego można by i mówić, i pisać bardzo dużo, ale – o czym pewnie nie wszyscy wiedzą – mieściło się w niej także radio – krakowskie radio, w którym występował niezliczoną ilość razy, nagrywany przez kolejne pokolenia radiowców, w tym również mówiącą te słowa, w roli twórcy, autora czy współautora słuchowisk radiowych i audycji dokumentalnych.

Słuchowiska obok reportażu i dokumentu to najwyższej ceniony gatunek także sztuki radiowej. Pierwsze, wedle scenariusza

¹⁵ Był także autorem książki „Klucze do wolności”, gdzie „nasze” powstanie zostało szeroko i dokładnie opisane.

Staszka Jankowskiego, to było kilkuodcinkowe słuchowisko pt. „Zamach na Koppego” z roku 1975. Słuchowisko wyreżyserowała Romana Bobrowska, wśród wykonawców tuż krakowskiego świata aktorskiego: Jerzy Trela, Jerzy Radziwiłowicz, Jerzy Bińczycki, Aleksander Fabisiak, Bożena Adamek. W 1977 r. pojawiło się kolejne słuchowisko zatytułowane „Kombatanci”, opowiadające o konflikcie związanym z przyznaniem odznaczeń za zasługi.

I dalej: „Pierwsze dni Rzeczypospolitej”, „Do powstania” – o udziale krakowskich studentów w powstaniach śląskich, „Ostatni lot Halifaxa”, „Wywiadowcy”. Pośród nich wyjątkowy „Król perkozów” – rzecz o miłości do przyrody, o bezdusznej biurokracji i wyrachowaniu tych, dla których atrakcyjność miejsca postrzegana jest tylko przez pryzmat możliwych do zarobienia na nim pieniędzy. Staszek Jankowski napisał to słuchowisko w 1978 roku, a wydaje się jakby opisane w nim zostało także niestety i nasze dziś.

W drugiej połowie lat 80. na antenie Radia Kraków pojawił się cykl „Gawędy historyczne” Stanisława Marii Jankowskiego: opowiadał w nich m.in. o niemieckiej szkole policji i służbie bezpieczeństwa w Rabce w czasie okupacji – tzw. „szkole morderców”, o sabotażu prowadzonym w czasie wojny przez pracowników Zakładów Zieleniewskiego, czy o konspiracyjnej fabryce broni przy ul. Mogilskiej.

Kiedy otwieramy elektroniczną bazę Archiwum słownego Radia Kraków pod numerem 1 widnieje hasło „Katyń/materiały”. To rozmowa z ks. Leonem Musielakiem, więźniem Kozielska. Autorami audycji byli Edward Miszczak i Stanisław Maria Jankowski. „Katyń /materiały”, noszący w katalogu numer 1, to jedna z 30 audycji dokumentalnych z cyklu „Z archiwum Katyńskiego”, które z inicjatywy, inspiracji Staszka Jankowskiego nagrywane wspólnie z Edkiem Miszczakiem powstały w latach 1989–1990. Nie muszą mówić, jak ważny i cenny jest to materiał. Ale na tym nie koniec autorskiej działalności Staszka Jankowskiego.

W latach 90. powstają kolejne audycje dokumentalne, które tworzyliśmy już razem, m.in. o obrońcach Poczty Polskiej w Gdańsku, śmierci generała L. Okulickiego „Niedźwiadka” czy o humorze i satyrze stanu wojennego m.in. z udziałem Doroty Terakowskiej i Maćka Szumowskiego.

Staszek Jankowski był przez wiele lat niemalże etatowym komentatorem w moich historycznych programach czy reportażach dokumentalnych dotyczących wydarzeń z czasów II wojny światowej i po jej zakończeniu. Wiele tematów podejmowanych przez nas w książkach, które wspólnie napisaliśmy, miało też swoją radiową odsłonę, cenną, bo utrwalającą głosy świadków historii.

Upór, sumienność, rzetelność w dociekaniu do źródeł, w poszukiwaniu dokumentów i świadków wydarzeń, cechowały Staszka w Jego pracy historyka – poszukiwacza, dziennikarza, pisarza, także w Jego pracy radiowca i tej cennej umiejętności nietatwej, nie zawsze nagradzanej laurami także mnie nauczył. Bardzo Ci, Staszku, za tę lekcję dziękuję.

Redakcja

Pomoc dla siostr dominikanek w Czortkowie

Szanowni Państwo, drodzy Kresowianie i ich miłośnicy!
Drodzy Czortkowie w kraju i za granicą

Państwo ukraińskie od kilku miesięcy walczy twardo z przeważającymi siłami wroga, który je zniemacka zaatakował. Sytuacja wojenna spowodowała pogorszenie sytuacji materialnej i finansowej nie tylko Ukraińców, ale także Polaków mieszkających na terenach Ukrainy, których sytuacja jeszcze przed bieżącymi wydarzeniami i tak była ciężka.

Mniejszość polska mieszka także w pięknym Czortkowie na Podolu, mieście wielce zasłużonym dla historii Polski – to tutaj stacjonował pułk KOP, którym dowodził gen. Rowecki „Grot”, to tu w 1940 roku wybuchło powstanie przeciwko władzy sowieckiej, a o wcześniejszych losach miasta świadczą m.in. ruiny zamku, który pamięta oblegających go Tatarów.

Ciężką sytuację Polaków tam mieszkających ratują różne stowarzyszenia, organizacje oraz Kościół katolicki. Od wielu lat posługę w tym mieście sprawują siostry dominikanki, które przy ul. Szopena, przy domu zakonnym, prowadzą ochronkę dla dzieci, dbają o polską część cmentarza oraz o osoby starsze.

Udało się nam nawiązać kontakt z siostrami z zapytaniem, czego w obecnej sytuacji najbardziej potrzebują.

Oddaję głos s. Marcellinie:

Bardzo dziękujemy za propozycję pomocy Czortkowieanom, to ważne. Tym, z którymi mamy kontakt, tak w ciągu roku, jeszcze do wojny, zawsze powtarzamy, że Polska o Nich pamięta...

My, jako dominikanki, pomagamy potrzebującym bez względu na wyznanie czy narodowość, jednak tę pomoc, która ma konkretne przeznaczenie, tak rozdajemy. Obecnie dzięki pomocy, która dociera dla nas do Żółkwi mamy produkty, natomiast brakuje nam chemii gospodarczej.

Nie mamy funduszy, żeby wykupić leki tym, którym nie starcza z emerytury. Możemy podać konto złotówkowe, wystarczy odpowiedni dopisek i otrzymujemy je tutaj na miejscu bez żadnych strat.

Natomiast interesowałoby mnie, czy macie Państwo jakieś konkretne kontakty do ludzi mieszkających w Czortkowie, których mogłybyśmy dołączyć do tej pomocy. My staramy się wyszukiwać, ale mam świadomość, że nie do wszystkich docieramy.

Szanowni Państwo

Podajemy Państwu konto do wpłat podane przez siostry:

20 1020 4405 0000 2302 0562 8187

Wpłaty proszę kierować tytułem: pomoc charytatywna dla Polaków w Czortkowie lub też jeśli ktoś chce, by pomoc była kie-

rowana bez względu na narodowość tytułem: pomoc charytatywna dla Czortkowian.

Osoby chcące przekazać paczki z darami, podać nazwiska osób, które chcieliby, aby siostry objęły pomocą lub też mają zapytania, podajemy kontakt:

Siostry Dominikanki w Czortkowie – dominikankichortkiv@wp.pl lub też z naszą redakcją.

W załączeniu zamieszczamy także kilka zdjęć, które obrazują pracę sióstr. Na naszej stronie internetowej www.lwowiacy.pl oraz na łamach „Głosów Podolan” na bieżąco będziemy informować Państwa o przebiegu zbiórki.

Apelujemy także do środowisk kresowych i osób prywatnych o nagłośnienie akcji.

Z kresowym pozdrowieniem

Siostra Marcelina – Zgromadzenie sióstr Dominikanek w Czortkowie

Igor Megger – wiceprezes Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Poznaniu

